Nr. 39. Warszawa, dnia 27 (15) Września 1890 r. Rok X.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szanownych abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty. Odpowiadając przytem na liczne zapytania, donosimy, że obie zapowiedziane przez nas książki: **Encyklopedya dla dzieci** (ilustrowana) i **Psychologia dziecka** znajdują się w druku i wkrótce wyjdą.

Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym dalszy ciąg **Historyi rewolucyi francuskiej** Migneta ark. 7—12 tomu drugiego.

POLITYKA.

SPOWIEDŹ PUBLICZNA.

Chociaż logika i uchwytne dowody wskazywały, że Boulanger, który rozrzucał olbrzymie sumy na wyrobienie dla siebie w narodzie popularności, musiał je czerpać ze skarbu ludzi zainteresowanych w zawichrzeniu Rzeczypospolitej, wydawało się nieprawdopodobnem, ażeby tyle milionów i tyle zaufania ktokolwiek złożył w ręce tak lichego awanturnika. Czy podejrzywano orleanistów, czy bonapartystów, czy innych pretendentów do władzy, w każdym przypuszczano za wiele rozwagi, ażeby mógł swą sprawę związać z farsą, odgrywaną przez marnego komedyanta. Rozum opierał się takiemu przypuszczeniu nawet wtedy, gdy ono nabierało cech niewątpliwej prawdy. Nareszcie odkrycia Mermeixa w *Figarze* rozwiązały zagadkę wyjaśnieniem, przechodzącem najdziwaczniejsze domysły. Takiej głupoty, takiej naiwności i dzieciństtwa nikt się nie spodziewał i spodziewać nie mógł. Bo i któżby bez dowodów i świadectw uwierzył, że monarchiści wszelkich odcieni łapali się jednocześnie na plewy, sypane im ręką Boulangera, że nie mając żadnej rękojmi co do jego zamiarów, przeciwnie, widząc całą nędzę jego charakteru, dawali mu miliony franków na mącenie wody, z której nikt ryb nie wyłowił? Gdyby przynajmniej był to najmita śmiały, zdolny poważyć się na wszelki krok w interesie tych, którzy go najdrożej przy licytacyi opłacili; ale jak dziś widzimy, był to tchórz, cofający się przed każdym Rubikonem, a z otrzymanych pieniędzy więcej wydający na swoje osobiste wygody, niż na agitacye polityczne. Pełnemi garściami czerpał franki z kasy księżny Uzes lub hr. Paryża na zbytkowne mieszkanie, powozy, kochanki, biesiady, a ci, którzy go utrzymywali, ciągle przekonywając się o jego wiarołomstwie lub nieudolności, nie przestawali dalej zaopatrywać go w pieniądze. Jakieś bezprzykładne i niewytłomaczone zaślepienie związało ich z tym operetkowym bohaterem. Wszyscy drżą, ażeby ich nie zdradził, wszyscy widzą, że szachruje, że o żaden zamach stanu się nie pokusi, że jest baranem w lwiej skórze i jednocześnie wszyscy starają się o jego łaski, osypują go złotem. Zdawałoby się, że zdobywają sobie ramię zwycięzcy z pod Marenga, jakiegoś potężnego siłacza, a tu przedmiotem owych zabiegów jest nicpoń, którego całą sławą jest dobry wygląd na koniu i szum kilku frazesów. Nieprawdopodobne a prawdziwe.

Francya, którą ten manekin długo niepokoił, mogłaby być zadowoloną, że go rozebrano, zbadano otręby, któremi był wypchany i sprężyny, które nim poruszały, gdyby zarazem otwarcie „kulis bulanżyzmu“ nie były dla niej wysoce upokarzającem. Bo z jakimże ona wstydem rozmyśla dziś, kto to nią wstrząsał i kto przy niepomyślniejszej grze wypadków stanąłby przy sterze jej rządu! Boulanger był bohaterem narodowym, Boulanger był wybrany w kilkunastu departamentach, Boulanger zapowiedział, że zostanie wybrany we wszystkich, Boulanger znieważał Izbę, plugawił rząd i obiecywał wejść do Paryża jako dyktator, Boulanger był zbawicielem lub pogromcą — czy to nie okropne, nie poniżające? A do tej sromoty cały świat dodaje swoją ironiczną i słuszną uwagę, że taki człowiek mógł ukazać się, zapanować nad opinią i państwem tylko we Francyi, w kraju lekkomyślności, blichtru, komedyi i waryackich porywów. Stanowczo gdzieindziej byłby on niemożliwym. Nie wyobrażamy go sobie ani w Anglii, ani w Niemczech, Austryi, a nawet w Hiszpanii lub Portugalii. Tylko grunt francuski, znacznie zwyrodniały i płodny w najcudaczniejsze dziwolągi, mógł wydać Boulangera. Wobec tego przekonania słabą pociechą jest powszechna nadzieja, że wrogowie Rzeczypospolitej, zdyskredytowani ujawnionym związkiem i odkrytemi intrygami, przegrali ostatnią stawkę i stracili wszelki kredyt w narodzie. Kraj bowiem, który zrodził takiego Boulangera i poddał się jego wpływowi, jest nieobliczonym w swej przyszłości i może znowu rzucić się w jakąś niedorzeczną awanturę, z której wyjdzie mniej obronnie. Podobno Zola, malarz najwstrętniejszych brudów życia, oświadczył, że nigdy z łona Francyi nie wydobyto tyle błota i że nie należało go wyrzucać na rynek publiczny. Jeżeli on czuje wstręt do tego błota, on, który żadnej ohydy nie zataił, to jakichże wrażeń doznawać muszą poważni i uczciwi francuzi wobec odkryć Mermeixa? Rumieńce przesuwają im się po czołach, a wstyd ściska serce. To nie wspomnienie o nieszczęściu posiadającem swój majestat, to spowiedź z grzechów upodlenia. To też patryotom francuskim musi być smutno, bardzo smutno!

PRZED I PO 1-ym PAŹDZIERNIKA.

I.

Ogółem liczą w Niemczech około dziesięciu milionów wyborców, lecz blizko czwarta część zwykle nie korzysta z praw swoich. A tymczasem demokracya społeczna otrzymała w ostatniej walce wyborczej do $1\frac{1}{2}$ miliona głosów. Okoliczność ta, wzięta w oderwaniu od mnóstwa innych, dowodziłaby już, że mamy przed sobą istotną potęgę polityczną, powołaną do odegrania roli dziejowej. Rzeczywiście, samo istnienie tej

partyi i dotychczasowe wzmaganie się zniewoliły rząd niemiecki do nakreślenia i urzeczywistnienia skutecznienia całego programu reform, z których każda, przynajmniej w teoryi, podważa mocno zasady kapitalistycznej gospodarki i kapitalistycznego państwa. A jednak wszystko przemawia za tem, że partya ta będzie dalej wzrastała. Wprawdzie przebywa ona obecnie ciężkie przesilenie, będące rachunkiem sumienia, a jednocześnie szukaniem dróg dalszych; można jednak mniemać, że nawet rozpołowiona nie utraci siły swojej.

Z powodu zaniechania od 1 października przez rząd niemiecki ustawy, powstrzymującej swobodny rozwój tego ruchu a skutkiem tego gruntownej zmiany położenia, wyrażonych obaw i nadziei, zatrzymamy uwagę czytelników szczegółowiej nad tą demokracyą społeczną.

Po r. 1848 zapanowała w Niemczech reakcya. Rozumie się Prusy podtrzymywały ją najsilniej. „Rozhukana“ demagogia została rozproszona i wytępiona, zresztą niewiele jej było. Mieszczaństwo, zastraszone niemieckim cieniem czerwonego widma, które ukazało się na bruku paryskim i zatopione zostało w rzeziach czerwcowych, oddało chętnie władzę w ręce żywiołów feodalnych, jako najodpowiedniejszych dla powstrzymania fali demagogicznej, samo zaś rzuciło się z zapałem do pracy organicznej w mieszczańskiem znaczeniu tego słowa. Kapitał święcił swoją złotą erę. Ukazały się koleje żelazne; przemysł niemiecki z dumą głosił, że kupując u anglików przędzę bawełnianą, wyrugowywa przecież z rynków angielskie tkaniny bawełniane, naturalnie przemilczając o sposobach, za pomocą których dokonywał tego cudu, a które ciężko odczuwał pracujący najmita. „Bogactwo narodowe“ potężniało wraz ze swoją towarzyszką, nędzą. Lecz z przesuwaniem się środka ciężkości ekonomicznej do warstw mieszczańskich, rozpoczął się zatarg pomiędzy zajętym „pracą organiczną“ kapitalistą a junkrem, któremu pierwszy poruczył stać na straży porządku społecznego. Wzrastający w siłę kapitalizm wymagał zmiany w istniejącej ustawie prawno-politycznej, mianowicie zniesienia szczątków cechowego partykularyzmu — np. ograniczeń przenoszenia się z miejsca na miejsce i ścieśnień wolności procederu; tymczasem junkierstwo broniło tej zaściankowości, tak licującej z jego wstecznictwem. Następnie junkier zaczął nadużywać władzy, usiłując zwalić z siebie wszystkie ciężary podatkowe. Kapitalista spostrzegł, że znalazł wprawdzie dobrego dojeżdżacza na demagogię, lecz jednocześnie pojął, że ów obrońca nie cofał się przed rabunkiem jego kieszeni mieszczańskiej i wydrwiwał „naturalne prawa“ kapitału. Zaczynają się niesnaski, które około r. 1858 doprowadzają do zaognionego starcia. Mieszczaństwo dopomina się o potrzebne kapitałowi reformy i protestuje gorąco przeciwko „nierównomiernemu“ opodatkowaniu, a opierając się na swojem znaczeniu ekonomicznem, przebąkuje coraz głośniej o „reakcyi“ i o konieczności odsunięcia junkrów od władzy. Ale junkier, posiadający na swe rozkazy żołdactwo, kpi z tych rozumowań, westchnień i zarzutów. Słowu przeciwstawia coś realniejszego — pięść. Mieszczaństwo przypomina sobie wtedy, że istnieje jakiś „lud.“ Czy nie możnaby wyprowadzić go do boju przeciw żywiołom feodalnym? Zaczynają się umizgi do pogardzonej istoty, posiadającej specyalną nazwę „der arme Mensch.“ Powstają liczne koła oświaty ludowej z wykładami. Wprawdzie dziś czyta się w nich o Schillerze, jutro o analizie spektralnej, pojutrze o szachu perskim, lecz kwestya „polepszenia bytu“ mas pracujących bywa też potrącaną. Zmuście junkrów do dania swobody procederów i wolności przenoszenia się, a natychmiast dobrobyt wasz wzrośnie — oto treść środków tego polepszenia. Pod osłoną oświaty mieszczaństwo ostrzy broń przeciw feodalizmowi. Wreszcie zjawia się Mojżesz mieszczański. Jest gdzieś w Niemczech niewielka mieścina, Delitsch, zaludniona przez drobnych majstrów i rzemieślników; śród tych żywiołów rozpoczął swoją działalność społeczną sławny Schultze. Wezwano go teraz na arenę wielkoprzemysłową i przed najmitą fabrycznym mąż ten zaczął roztaczać mamidła, stosowane przezeń z powodzeniem wpośród warstw rzemieślniczych. Samopomoc wysunięto na plan pierwszy, zresztą niewinnej natury, bo ograniczoną do oszczędzania jakiegoś pół kęsa z każdego łaknionego kawałka chleba i do zakładania stowarzyszeń spożywczych. Czasami przy wykładach obiecywano, że kiedy „der arme Mensch“ pozna już tajemnice słońc i zgłębi zwyczaje japońskie lub dzieje Hohenzollernów, wtedy pomyśli się dlań o rozszerzeniu prawa wyborczego. Mniejsza zresztą, jak mieszczaństwo okłamywało najmitę; najważniejsza, że ten ostatni jął wyrzekać na junkrów i pomagał mu do przełamani a wpływów zachowawczych, a postawienia u steru liberałów.

Lecz mieszczaństwo wdało się w grę niebezpieczną. Zapomniało, że wszelka organizacya najmicka, jakiemikolwiek godłami powołana do życia, z biegiem czasu staje się koniecznie armią bojową pracy przeciw kapitałowi. W ten sposób tłomacząc prawa załamywania się światła, mieszczaństwo jednocześnie formowało kadry przeciwko sobie; wciągając zaś robotników na arenę zapasów politycznych, tem samem dawało pierwsze lekcye strategiki społecznej swojemu wrogowi. I w samej rzeczy, w chwili najpotężniejszych ruchów ludu miejskiego przeciwko partyi junkierskiej, hydra demagogiczna z r. 1848 zmartwychwstaje. W r. 1863 zwołano wielki zjazd do Lipska; postawiono tutaj kwestyę oszczędności i kas dla chorych i inwalidów pracy, a pod maską jej wniesiono sprawę swobody procederowej. Lecz wodzeni na pasku najmici zaczynają niedowierzająco potrząsać głowami, aby tego rodzaju środki mogły zażegnać nędzę; niezdolni poradzić sami z teoretykami oszczędzania i samopomocy ekonomicznej, zwracają się z prośbą do kilku ludzi z r. 1848 o wyjaśnienie, w tej liczbie do Lassalla... Rozpoczyna się gorąca a namiętna działalność tego ostatniego, znajdująca w stworzonych przez mieszczaństwo kołach oświaty gotowy grunt agitacyjny. Lassalle jedynie do gotowych worków wlewa nowe wino. Samopomoc ekonomiczna zostaje obrzucona szyderstwem. Stowarzyszenia spożywcze? Niech rozszerzą się na wielką skalę a wywołają tylko jedno: obniżenie skali zarobkowej. Oszczędzać? Lecz z czego? Rozwój kulturalny zresztą nie polega na odmawianiu potrzebom, lecz przeciwnie na zwiększaniu i lepszem ich zaspokajaniu. Wszelka samopomoc zwraca się tylko przeciwko najmitom. Warstwy pracujące mogą polepszyć swój byt tylko jedną drogą. Mianowicie, powinny zorganizować się jako samodzielna a klasowa partya polityczna i wystąpić w imię własnego interesu na widownię polityczno-społeczną. Państwo jest najpotężniejszą maszyną reformacyjną; idzie tylko o to, aby nadać jej ruch w stosownym kierunku; lecz nastąpi to tylko wtedy, kiedy odpowiednia klasa obejmie ster władzy. Prawo powszechnego, tajnego a bezpośredniego głosowania jest pierwszym a nieodzownym krokiem na tej drodze. „Jeżeli 96% ludności krajowej zro-

---

BEZPŁATNE BILETY

NOWELA.

Byłem dumnym nad wyraz i miałem do tego powód. Wystawiono moją sztukę, która zyskała powodzenie. Należałem do stałych współpracowników jednej z większych gazet i jako autor miałem po dwa bilety gratisowe do każdego z trzech teatrów w mieście. Proszę sobie wyobrazić: sześć biletów wolnych było do mojej dyspozycyi co wieczór!

Jak często dawniej, kiedy jako młody student siedziałem na paradyzie pod strychem wśród malowanych aniołów, z podziwieniem spoglądałem na szczęśliwych śmiertelników, rozpierających się w krzesłach! A dziś — byłem jednym z tych błogosławionych. Nie dość tego, mogłem tam siedzieć nie sam, wolno mi było zabierać przyjaciela albo nawet przyjaciółkę, a do teatrów, do których nie poszedłem sam, mógłem posyłać innych w mojem zastępstwie i w ten sposób danem mi było uszczęśliwiać co wieczór przynajmniej pięciu, czasem sześciu ludzi — co za piękna myśl!

Młodzi panowie, o których niejasno przypominałem sobie, że byli mi kiedyś przedstawiani, z niezwykłą serdecznością brali mnie pod rękę i prowadzili do najbliższej restauracyi, gdzie delikatne czynili aluzye do moich biletów gratisowych; starsze panie, które żyły ze swych robót ręcznych, bez ustanku listownie prosiły mnie o bilety i około Bożego narodzenia obsypywały masą haftów prześlicznych; młodsze znowu, które główne swe zajęcie miały w cukierniach i dystrybucyach, obdarzały mnie najczulszymi uśmiechami, słodkiemi spojrzeniami i uściskami dłoni — wszystko za moje bilety gratisowe.

Zacząłem już wyniośle unikać wszystkich tych grzeczności; szczególniej dokuczyła mi pewna nauczycielka języków, która wciąż nasyłała mi dary porcelanowe. Obsypywała mnie formalnie filiżankami, jajecznikami, masielnikami i talerzykami deserowymi. Wszystko to jako tako jeszcze było do zniesienia; gdy jednak pewnego razu podarowała mi dwa ogromne wazony do kwiatów i zmusiła do postawienia ich na biurku — uważałem to za zbytek uprzejmości.

Szczerze powiedziawszy, często nawet obawiałem się, że ona mnie posądza o chęć otworzenia sklepu galanteryjnego, aż rozjaśniła mi się zagadka. Oto, udzielała ona lekcyj francuskiego języka córce właściciela składu porcelany: on płacił jej porcelaną, a ona za tę samą monetę nabywała moje bilety gratisowe.

* * *

Początek przykrości, jakie miałem z tego powodu, zrobiła mi moja gospodyni.

Czuła się obrażoną, że jednego wieczora dostała w teatrze miejsce w szóstym rzędzie krzeseł.

Od owego dnia dostawałem zrana zimną herbatę, a butelka piwa była jedynym gorącym napojem, jaki otrzymywałem na śniadanie. Przedtem dawała mi kurczęta i kotlety z jajami. Piętnastego wymówiła mi mieszkanie. Nie była przyzwyczajoną, jak mówiła, aby ją lekceważyli jej lokatorzy. Nic nie pomogły żadne tłómaczenia z mojej strony. Pozostała nieubłaganą. Nauczycielka języków wczoraj jeszcze miała siedzieć w trzecim rzędzie. Wprawdzie ona — gospodyni moja — dużo zniosła ode mnie, bo kobieta dużo znieść jest w stanie, ale jednej rzeczy kobiecie zapomnieć nie wolno, to jest o swej godności. Jeżeli w tej ostatniej zostanie dotkniętą, wszystko przepadło. Najlepiej więc, jeśli wyprowadzę się. Musiałem tedy wynaleźć sobie nowe mieszkanie; podałem ogłoszenie do gazet i otrzymałem mnóstwo adresow ludzi szlachetnych, którzy za umiarkowanem wynagrodzeniem gotowi byli przyjąć mnie z otwartemi ramionami.

Rozpocząłem poszukiwania.

zumie prawo powszechnego głosowania jako sprawę żołądka i upowszechni to pojmowanie po całym organizmie narodowym z ciepłem żołądkowem, zwycięztwo jest niewątpliwe.“ Zdobycie jakiegoś prawa politycznego na drodze walki klasowej jest dla najmitów ważniejsze, niż wszelkie oszczędności, stowarzyszenia spożywcze i instytucye samopomocy ekonomicznej. Tego rodzaju zapatrywanie, uzupełnione w celach agitacyjnych żądaniem praktycznem, aby zmusić państwo do dania 100 mil. talarów na stowarzyszenia wytwórcze, przeciwstawiono planom Schultzego. Z kół oświaty wywiązuje się organizacya najmicko-polityczna. Pomijamy wszakże te dzieje; obojętną tu dla nas jest krótka, lecz płodna działalność Lassalla, ważniejszą już rzeczą jest rola mieszczaństwa w organizowaniu i stwarzaniu demokracyi społecznej. Zatrzymamy się nieco nad tą sprawą, tem bardziej, że podobną tragi-komedyę społeczną mamy na każdym kroku w dziejach tegoczesnej cywilizacyi kapitalistycznej. Widzieliśmy już, jak zorganizowano „lud“ do walki z reakcyą i jak organizacye te stały się widownią działalności Lassalla. Otóż mieszczaństwo w ciągu całego dziesięciolecia, aż do nastania praw wyjątkowych, gorliwie pracuje na tem polu. W r. 1866 rozpada się ono na dwie partye, narodowo-liberalną i postępową. Ta ostatnia złożona z przedstawicieli spekulującego kapitału giełdowego i bankierskiego, potrzebowała radykalniejszej armii wyborczej i z chwilą zaprowadzenia powszechnego głosowania (1867) zwraca się ku najmitom miejskim jako dostarczycielom głosów. Ale minęły czasy kazań Schultzego na temat oszczędności; tłumy pracujące, otrzeźwione z tego rodzaju rojeń, potrzebowały innego lepu. Postępowcy wysyłają kilku znawców do Anglii dla studyów nad trade-unionami, aby później podobne organizacye powoływać do życia w Niemczech i za tę cenę okupić poparcie robotnika na wyborach. Z biegiem zaś wypadków ta sama partya rzuca hasło bezroboci. Ona to zorganizowała np. pierwsze wielkie bezrobocie w Prusach — górników waldenburskich na Szląsku. Naciskani przez wzrastającą potęgę demokracyi społecznej postępowcy brną coraz bardziej w kierunku przebudzania antagonizmów klasowych i aby utrzymać swój wpływ polityczny w parlamencie, odgrywają dwuznaczną rolę: organizatorów rzeszy najmitów w imię haseł klasowych i obrońców własności kapitalistycznej. To też zdaje się, jak gdybyśmy byli na przedstawieniu wielkiej humoreski. Zorganizowane związki najmicko-zawodowe, w miarę jak powstają i wytrzymują próbę w pierwszym ogniu, nie mają nic lepszego do roboty, niż całkowicie zaciągać się do szeregów demokracyi społecznej, pozostawiając swoim ojcom chrzestnym troskę powoływania do życia nowych „gewerkvereinów.“ Bezrobocie znowu waldenburskie przyjęło rozmiary zbyt wielkie i przeraziło swoim ogromem tych, którzy je spowodowali. Demokracyi społecznej wypadło dalej prowadzić sprawę... Słowem, partya postępowa w chwilowych widokach powodzenia wyborczego nagromadza wciąż materyały dla „bakteryj“ społeczno - demokratycznych. Ciągnie się to aż do ogłoszenia praw wyjątkowych...

Lecz demokracya społeczna, zwarta wobec wrogów, bynajmniej nie przedstawia pierwotnie tej jednolitości w swem łonie. Lassalle umiera wkrótce po rozpoczęciu działalności i — jak ktoś słusznie zauważył — czyni to może w sam czas dla swojej sławy. W zorganizowanej przezeń partyi politycznej zaczynają rej wodzić żywioły wsteczne. Przeoczono tutaj, że jeśli walka z mieszczaństwem jest obowiązkowa, jeszcze konieczniejszem jest zniesienie junkierstwa i ultramontanizmu. Junkrzy, napastowani przez mieszczaństwo, wprowadzają powszechne głosowanie, aby mu przeciwstawić polityczną partyę robotniczą; pod wpływem tego v. Schweitzer i inni, którzy po Lassallu kierują ruchem, zaczynają uprawiać kult Bismarka i w dalszym ciągu sławić ideały pruskiej monarchii robotniczej pod berłem Hohenzollernów. Hasło: „social, national, monarchisch!“ — daje się słyszeć coraz głośniej i prowadzi zwolna już nietylko do kokietowania, lecz wprost do sojuszu zaczepno - odpornego z junkierstwem. Demokracya społeczna, nie mogąc przeprowadzić do parlamentu swoich posłów, głosuje np. za kandydatami junkierskiego pokroju i wyznaje szowinizm patryotyczno-zaborczy feodała pomorskiego. Lecz jednocześnie ukazuje się opozycya. Wychodzi ona z łona emigrantów 1848 r., jak Liebknecht, którzy teraz wrócili do kraju. Garstka ta, głębiej wykształcona teoretycznie, wyzwolona w tułactwie po za krajem od różnych zaściankowości, wyćwiczona społecznie śród ruchów francuskich i angielskich, wnosi zgoła inne pierwiastki. Walcząc przeciw mieszczaństwu, wraz z niem idzie przeciw wszelkim innym partyom; w potrzebie odda swe głosy liberałowi, który opierał się powszechnemu prawu wyborczemu i przeciw Bismarkowi, który je przeprowadził. Walczy z żywymi, lecz jeszcze bardziej z umierającymi. W rozwoju Prus widzi czynnik wsteczny i marzy o jedności Niemiec na podstawie równoprawnej, bez hegemonii Hohenzollernów. Mniema ona, że demokratyczna rzeczpospolita jest najodpowiedniejszą formą dla rozstrzygnięcia zapasów chwili. Wreszcie kiedy lassalczycy są wielce patryotyczni i wrogo patrzą na Międzynarodówkę, „eisenachiści“ (taką nazwę przyjęła owa garstka od miejsca zjazdu) uważają się za odłam tej ostatniej i rozumują, że kwestya społeczna nie jest i nie może być narodową, lecz musi być rozpatrywana na gruncie nowoczesnego społeczeństwa wymiennego. Przeciwieństwo zwłaszcza silnie występuje w pierwszej chwili po wojnie francusko-pruskiej. Lassalczycy gotowi przyjmować udział w obchodach sedańskich; odłam eisenachski protestuje gorąco przeciw zaborom alzackim. Widzieliśmy, że Lipsk jest kolebką demokracyi społecznej, która stąd rozszerzyła się w inne okolice, korzystając często z poparcia rządu junkierskiego przeciw partyom mieszczańskim. Otóż Saksonia z Lipskiem wypiastowała też opozycyę międzynarodowców, która wzrasta początkowo pod opieką radykalizmu mieszczańskiego, zwłaszcza tak zwanej Volkspartei. W organach tej grupy Liebknecht rozpoczął pierwsze ataki przeciwko wstecznictwu Schweitzera, a Bebel, wychowaniec „postępowców“ — organizacyę partyjną. Niebawem jednak międzynarodowcy występują samodzielnie i grupa lassalowska traci zupełnie grunt pod nogami w Saksonii; w 1878 r. na 33 tysiące społeczno-demokratycznych głosów wyborczych otrzymuje ona ledwie dwa tysiące. Zresztą po wojnie odłam eisenachski wzrasta szybko w potęgę. W r. 1871 z ogółu 100 tysięcy głosów wyborczych przypada nań 38%; w 1874 zaś z ogółu 350 prawie połowa. I nie dziw, stanowisko grupy eisenachskiej okazało się zgodniejszem z naturą tegoczesnego społeczeństwa, a samo życie wychłostało nielitościwie złudzenia lassalistów. Zwycięzki junkier w towarzystwie służalczego narodowo-liberała rozpoczyna swoją brutalną działalność z lat 1870—1889 i przekonywa namacalnie najmitę, że państwo nie wisi w powietrzu po-

---

Niby listonosz biegałem po schodach, zaglądałem w najgłębsze tajniki życia rodzinnego i wylądowałem nareszcie u wdowy z córką dorosłą.

Naprawdę bardzo miło było u nich. Pokoje eleganckie były umeblowane, przepełnione kwiatami, haftowanymi obrusami i poduszkami. Kiedy wszedłem, matka, blada dama o dystyngowanem wejrzeniu, siedziała przy fortepianie i grała walca Chopina, podczas gdy córka, promieniejąca pięknością o czarnych oczach i świetnej cerze, zajętą była wykończaniem akwareli na stalugach.

Malowała farbami wodnemi. Później dostrzegłem, że i twarz swoją malowała podobnie. Niebawem zgodziliśmy się co do ceny mieszkania. Miałem dostać całkowite utrzymanie i naturalnie doznawać uprzejmego obejścia.

Serce panny było naczyniem napełnionem po brzegi wrzącemi uczuciami, które wiadrami rozlewała na każdego, kto się doń zbliżał. Zaledwie kilka dni mieszkałem u nich, a już dostał mi się prysznic gorący— i sparzyłem się. Doprawdy nie wiem, jak to stało się. W pokoju panował zmrok i unosiła się woń perfum, ogień palił się na kominku, a po za palmą zdobną w hafty stała kozetka. Matka siedziała przy fortepianie i znów grała Chopina, córka i ja, rozumie się, na kozetce — Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób tam znaleźliśmy się i to bardzo blizko siebie. Nieznośnie było gorąco, zupełnie jak w ojczyźnie palmy sagowej — przeszły mnie dreszcze febryczne. Oprzytomniałem dopiero, kiedy pani domu zapaliła żyrandol i dowiedziałem się, że mam narzeczoną i — białą plamę na lewym rękawie. Na tym rękawie oparła swój policzek różowy owa miła, drobna istota.

Wieczorem piliśmy wodę sodową z sokiem porzeczkowem i — byłem szczęśliwy.

Ani pomyślałem o tem, żem się sprzedał, sprzedał razem z moimi sześciu biletami gratisowymi. Nazajutrz poszliśmy do teatru; odtąd często bardzo chodziliśmy do rozmaitych teatrów. Nieszczęściem jednak my narzeczeni nie mogliśmy tam bywać sami. Zawsze nam chciała towarzyszyć mamunia, skutkiem czego ciągle musiałem sobie kupować jedno z droższych miejsc przyległych, po podwyższonych nieraz cenach. Wydatek ten wielce nadwyrężał mojego pensyę miesięczną, zwłaszcza żeśmy zwykle po teatrze wstępowali do restauracyi na kolacyę.

Pewnego poranku spotkałem na ulicy kilku z moich przyjaciół biletowych. Od dosyć dawna mnie nie widzieli, piliśmy więc trochę więcej, niż zwykle.

Przed południem niewiele znieść mogę i otwarcie wyznać muszę, że gdy wróciłem do domu, byłem czerwony na twarzy i nadzwyczaj wesoły. Narzeczona moja i jej matka natomiast przedstawiały się inaczej. Pierwsza, stanowczo smutna, podobną była do świętej malowanej, druga wyglądała, jakby miała ból zębów.

— Piłem dziś trochę portweinu — rzekłem żartobliwie.

— Widzę to — odpowiedziała mi narzeczona melancholijnie.

— Za moich czasów nigdy narzeczony nie chodził do restauracyi — odezwała się matka.

— I ja pójść nie miałem ochoty, ale zmusili mnie znajomi. Było to kilku młodych ludzi, którzy wciąż dręczą mnie o bilety gratisowe.

Narzeczona moja podniosła się łagodnie i odgarnęła mi wąs na stronę, aby mnie lepiej módz pocałować.

— Mój drogi przyjacielu, tyle masz przykrości i zmartwień z powodu tych biletów. Na przyszłość uwolnię cię od tego. Zabiorę ci je i będę rozdawała tylko naszym najbliższym znajomym. Wszyscy oni są dobrymi ludźmi z przyzwoitej rodziny i biletów nie nadużyją.

Było to poświęcenie z jej strony. Z wdzięcznością złożyłem bilety w czułe jej ręce— i więcej już ich nie widziałem.

(D. n.)

nad klasami, lecz jest wprost klasową dyktaturą jednej z grup posiadających i że jeśli grupą tą jest mieszczaństwo bankierskie i wielkoprzemysłowe, najmici mają więcej wolności politycznej, niż kiedy u steru stoją junkrzy pomorscy, ultramontanizm katolickich feodałów lub episer frankfurcki. Szowinistyczno-patryotyczna wiara w posłannictwo reformacyjne Hohenzollernów zostaje zachwiana wobec wzrastającego fiskalizmu i militaryzmu. Jednocześnie srożąca się reakcya przebąkuje o prawach wyjątkowych. To doprowadza powoli do wzajemnego porozumienia się, zwłaszcza po wyrugowaniu wsteczniejszych lasalistów. Moralne kierownictwo obejmują międzynarodowcy i już w 1877 r. obie grupy występują jako jedna na arenie wyborczej. Wśród wzajemnych zapasów wyrobiono praktyczne programy i taktykę, wyćwiczono zręcznych przewódców, zdobyto silną organizacyę. Lecz zjednoczenie to wywołuje też przeciw sobie ogólną koalicyę warstw posiadających w ustawie wyjątkowej.

K. R. Żywicki.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W Portugalii odbywa się obecnie ferment polityczny, który prawdopodobnie mieć będzie poważniejsze następstwa. Układ z Anglią, zapewniający jej w Afryce wielkie korzyści i krzywdzący drugą stronę, wzburzył w narodzie portugalskim wszystkie żywioły nieprzyjazne rządowi, które naprzód powstały przeciwko haniebnej umowie, a w dalszym rozwoju walki — przeciw obecnej formie rządu. Republikanie bowiem skorzystali z tej sposobności i wzniecili szereg tak niebezpiecznych rozruchów, że podobno król gotów jest zrzec się korony. W każdym razie zamęt dotąd nie ustaje, a wobec trudności wykonania traktatu z Anglią, nikt nie chce stanąć na czele gabinetu i znaleźć się między dwoma ogniami: niepopularności w kraju lub niebezpieczeństwa z zewnątrz, gdyż rząd angielski od warunków kontraktu nie odstąpi. Zaiste, lord Salisbury, uderzając w Portugalię swym gwałtem, chyba nie przewidywał, że zdruzgocze jej tron. Gdyby wszakże mógł był sięgnąć wzrokiem dalej po za egoistycznie i brutalnie broniony interes, przeczułby niezawodnie, że skrzywdziwszy Portugalię, zbudzi w niej nienawiść nietylko przeciwko sobie, ale i przeciwko tym, którzy z jej strony za tę krzywdę go pokwitowali.

Jeżeli — jak wieść twierdzi — Brazylia zaraziła swym przewrotem Portugalię, to Portugalia może zarazić Włochy. Wprawdzie Crispi nie poniósł żadnej porażki w polityce zewnętrznej, ale za to w wewnętrznej coraz bardziej wytęża struny, które pęknąć mogą. Zapewniwszy tajemnie Austryę o swej zgodzie na stłumienie w jej obrębie tlejących zarzewi patryotyzmu włoskiego, dał opozycyi nową podnietę do ataków, które niewątpliwie zabrzmią po otwarciu parlamentu. Przed kilku dniami usunął ministra skarbu, poprzednio wydał szereg rozporządzeń w kierunku wstecznym, chce rządzić samowolą, a nie umie zagoić najboleśniejszej rany narodu — nędzy.

Cesarz niemiecki odbywa coraz nowe wycieczki. Po spotkaniu z monarchą austryackim w Rohnstocku, jedzie znowu do Wiednia, stamtąd na polowanie do Styryi, skąd wróci dopiero 8 października. Niepodobna tym zjazdom nadawać znaczenia politycznego, gdyż powtarzają się one za często i w zbyt krótkich odstępach czasu.

Tak zwany bill Kinleya, zamykający wielu towarom europejskim wstęp do Stanów Zjednoczonych, zbliża się szybko ku urzeczywistnieniu, powodując już dziś znaczne szkody w stosunkach ekonomicznych. Zastanowimy się wkrótce nad nim szczegółowo, dziś zaznaczymy tylko, że Europa, rozdarta niezgodą, nie przedstawiła dotąd żadnego kroku zbiorowego dla odparcia niebezpieczeństwa.

Dzienniki angielskie rzuciły w świat alarmującą wiadomość, że konsul niemiecki w Zanzibarze przywrócił prawo handlu niewolnikami, usunięte edyktem tamtejszego sułtana. Sromotę więc, którą zniósł ów dziki barbarzyńca, wskrzesili cywilizatorowie, podejmujący wszystkie swoje wyprawy do Afryki pod sztandarem tępienia niewolnictwa. Wprawdzie *Reichsanzeiger* zaprzeczył urzędownie doniesieniom dzienników angielskich, ale w istocie tylko je nieco ograniczył. Fakt pozostaje dotąd niewyjaśnionym, ale zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że tkwi w nim jakieś paskudztwo niemieckie, jakaś obłuda, która w Europie nosiła maskę „chrześciańskiej kultury,“ a w Afryce odsłoniła twarz bezwstydnego geszeftu.

Pomiędzy Austryą i Serbią nastąpiło wreszcie porozumienie, skutkiem którego świnie weszły do Węgier i ustąpiły z not dyplomatycznych i artykułów dziennikarskich.

Posłowie słoweńscy mają się zebrać w Lublanie dla obrad nad kwestyą, czy nie należałoby im wystąpić z klubu Hohenwarta i połączyć się z młodoczechami. Wnętrze Austryi w stosunkach politycznych przeradza się szybko.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 14 września.

Przed sejmem.

Przesilenie marszałkowskie przechodzi bardzo spkojnie. Zastąpiono po prostu jedną osobę — drugą. Książę Eustachy Sanguszko zdecydował się przyjąć po hr. Janie Tarnowskim buławę, a z nią ciężar kierowania sprawami zepsutej machiny krajowej. Co zacz jest ks. Eustachy Sanguszko? Jako poseł troskał się w sejmie przedewszystkiem o sprawy gospodarskie, — w kwestyach ogólniejszych nie zabierał głosu wcale lub bardzo rzadko. Należał do t. zw. „grupki,“ która nie zdołała odegrać żadnej wybitniejszej roli, a podczas ostatniej sesyi utonęła nawet w falach jakiegoś rozchukanego konserwatyzmu i wyrzuciła księcia na sam wierzch „unii konserwatywnej.“ Z tej malowanej pozycyi przechodzi on obecnie na fotel marszałkowski. Można chyba z tego wahadła sejmowego wnosić o kołach nowego zegaru. Wewnętrzna organizacya sejmu przedstawiała w składzie swym prawicę, stronnictwo środka i lewicę. „Grupka“ odgrywała poniekąd rolę prawego środka i była, jak inne partye nasze, bladem odbiciem prądów społecznych, niedoprowadzoną do świadomości programowej, opartą raczej na względach towarzyskich, na wspólności instynktów i uprzedzeń. Lewica czuła, że ma „robić opozycyę,“ lecz bez wytkniętego celu dodatniego; prawica skupiała swe usiłowania w zwalczaniu lewicy, skutkiem czego obu na skuteczną pracę nie starczyło ani sił, ani czasu; stronnictwo zaś środka było niby języczkiem u wagi i mniemało, że spełnia swe zadanie, jeżeli nie dopuści, aby walka prawicy z lewicą doprowadziła do jakichś jaskawych zajść; „grupka chodziła luzem, więc nie dziw, że i sprawy sejmowe szły bezładnie. A ponieważ tak było niedobrze, postanowiono zmienić dekoracyę. Na ostatni sejm przybyli więc maszyniści Stańczyków z nowym niby to programem. Nie bez psychologicznego sprytu ocenili oni, że sejmowi potrzeba koniecznie jakiegoś zapalnego hasła — i wskazali lewicę, jako konduktor, któryby ściągał pioruny, mające w rząd uderzyć. Aby więc przedsięwziąć krucyatę przeciw lewicy, sprzęgli w jedno ciało wszystkie żywioły zachowawcze. Strzeliła więc odrazu wielka myśl „unii konserwatywnej,“ dogodna służka rządu, który mógł telegrafować do Wiednia, że wytworzyło się w jednej chwili potężne jego stronnictwo. Oto w krótkości dzieje stworzenia „unii konserwatywnej,“ na której prezesa wybrano księcia Sanguszkę, unii nieufnej w sobie, nieszczerej, niezdolnej do pracy i wywołującej zamieszanie i zamęt wygodny rządowi, lecz bardzo dla spraw krajowych szkodliwy. Wobec takiej przeszłości nie trudno odgadnąć przyszłą politykę nowego sternika nawy sejmowej. Odkąd zasiadł na fotelu ministeryalnym Dunajewski, a stronnictwo, z którego wyszedł, ujęło ster spraw krajowych w ręce,—można w sejmie zaznaczyć chyba jeden stały kierunek. System Szmerlingowski, a następnie wybory bezpośrednie do Rady państwa poniżyły dostatecznie godność tej najwyższej reprezentacyi krajowej; w dalszym ciągu przyśpieszyliśmy sami jej upadek, przeniósłszy punkt ciężkości naszej polityki za kulisy gabinetów ministeryalnych. Zmęczeni kilkomiesięcznemi zazwyczaj sesyami Rady państwa, przyjeżdżają nasi posłowie na sejm, jakby na spoczynek, dążąc tylko do tego, aby najprędzej się skończył. Skoro w delegacyi i przedpokojach ministrów ma się z góry rozstrzygać, czego krajowi potrzeba, więc sejm uważają nasi dyplomaci tylko za nudną komedyę. I na cóż im potrzebne użeranie się z resztką nieujeżdżonych szlachciców albo z jakimiś warchołami z lewicy? Na dnie duszy tych ojców ojczyzny leży wiara tylko w gabinetowe machinacye — parlamentaryzm uważają za czczą paradę. Wychodzi to już na jaw przed zwołaniem sejmu. Zapewniano pofnie, że nic nie stoi na przeszkodzie ani zwołaniu go na początek września, ani dłuższej jego sesyi. Dziś dowiadujemy się, że sejm galicyjski ma być wezwany dopiero na październik. Naturalnie o ile to nastąpi później, o tyle krócej trwać będą jego obrady, że względu na sesyę Rady państwa, a tem samem zabraknie czasu na należyte załatwienie spraw najważniejszych. W przedstawionych zaś wnioskach widać wielką obfitość administracyjnych, natomiast mało ustawodawczych. Oblicze zbliżającego się sejmu zasępiła mgławica dezorganizacyi. Wszędzie czuć brak przewodniej myśli, na zdrowych i jasnych opartej zasadach. Dawna większość, pozbawiona, bądź co bądź, doświadczonych i wytrawnych przywódców, rozbiła się dzisiaj w sejmie na koła i kółeczka, które mimo pozornej spójności w unii konserwatywnej, odbywają ruchy dowolne i niemiarowe. Odnowienie klubu lewicy i ubarwienie go kwiatami nasego mieszczaństwa — Szczepanowskim, Romanowiczem, Rutowskim i in. nie zdoła zakryć golizny partyi postępowej. Faktem jest, że źle jakoś zapowiada się tegoroczna kompania parlamentarna. Nagła rezygnacya marszałkowska odkryła wiele ujemnych stron w ustroju najwyższej władzy krajowej. Najbardziej umiarkowane pisma stwierdzają, że machina autonomiczna nie dokładnie funkcyonuje, że nie jest ona w stanie spełnić tego wszystkiego, czego się po niej mamy prawo spodziewać. Złe jeszcze powiększa się tem, że najwyższy naczelnik jej kieruje sprawami jeno tymczasowo. Ustąpił i czeka na następcę, aby w jego ręce złożyć władzę i kierownictwo a interregnum to odbija się najgorzej na pracach przygotowawczych do sejmu. Daremnie bowiem oczy zakrywać na rzeczywistość i łudzić opinię publiczną; do autonomii, której wszyscy pragnęli, stracono dziś powszechnie wiarę i ufność. Coraz bardziej staje się ona jałową, duch twórczy uleciał z niej

już w założeniu, a w praktyce mnożą się objawy zaniedbania i chaosu.

Przyjęty przez wydział krajowy preliminarz budżetowy na rok 1891 nie różni się w niczem od budżetów z lat ubiegłych. Ta sama szczupłość rozporządzalnych środków pieniężnych, ta sama, a konieczna z tego powodu oszczędność we wszystkich gałęziach zarządu, ta sama wreszcze trudność, prawie niemożność pokrycia nawet najdrobniejszego wzrostu wydatków zapomocą zwyczajnych dochodów skarbu krajowego. Budżet galicyjski trawi nieuleczalna gorączka deficytu. Wydział krajowy, nie rozporządając na razie innemi źródłami dochodów, prócz „dodatków do podatków,“ uważa jako jedyne wyjście z kłopotu zaciągnięcie milionowej pożyczki. Zdaje się jednak, że prócz starej recepty budżetowej, streszczającej się w formułce: „dodatki lub pożyczka,“ istnieją jeszcze inne systemy polityki finansowej, których u nas stosować nie chcą, pomimo nabytego przeświadczenia, iż metoda dotychczasowa okazała się równie bezsilną wobec rosnących potrzeb samorządu, jak szkodliwą dla zdrowego rozwoju ekonomicznych stosunków kraju. Zwraca też uwagę osobliwsza gospodarka finansowa, trwająca u nas od lat kilkunastu. Oto przedstawiając budżet, dba się jedynie o chwilowe załatanie dziur, zapominając zupełnie o następstwach takiego łatania. W dalszym zaś ciągu pomimo świadomości, że nieuniknione są nowe starych dziur reparacye, chociaż nastąpiły w tym czasie znaczne podwyższenia niektórych wydatków już z mocy ustaw (jak np. płace urzędników), postanawia się najspokojniej dla rzekomej poprawy finansów krajowych, iż dodatek krajowy nie ma być w latach najbliższych podwyższony. „Trudno nie pisać satyry.“ Preliminarz budżetu na rok 1891 — to tylko obraz cyfrowy rozpadającego się gospodarstwa krajowego, a zarazem wezwanie, aby posłowie przed otwarciem sejmu zastanowili się przygotowawczo nad środkami zaradzenia potrzebie i nad sposobami ogólnej naprawy, po której społeczeństwo nasze oczekuje odrodzenia polityki krajowej.

W tych dniach ogłoszono we Lwowie projekt rządowy ustawy o służbie zdrowia w gminach, ustanawiającej, aby każda albo sama dla siebie, albo wspólnie z innemi gminami i obszarami dworskimi utrzymywała jednego lub w razie potrzeby więcej lekarzy wiejskich. Gminny okrąg sanitarny nie ma liczyć więcej, niż 12,000 mieszkańców, a nie przekraczać obszaru 150 kilom. kw. Płaca lekarza gminnego wynosić będzie 500 — 600 złr. Sprawa ustroju służby sanitarnej w gminach naszego kraju jest wielkiej doniosłości. Nasuwa się jednak pytanie: czy wniesiona przez rząd organizacya jest rozumną? Powątpiewamy o tem bardzo. Wiadomo, że chłopi nasi nie ufają lekarzowi i medycynie jego a dla tego w razie choroby nader rzadko uciekają się do jego porady. Wolą oni raczej znachorów i baby, zamawiających choroby środkami, w których fantazya ludu widzi coś mistycznego, przypisując im wpływ tajemniczy. A w skuteczność takich środków wierzą tem bardziej, że podają je ludzie należący do jednego z nimi stanu, podczas gdy medyk — to człowiek innej klasy społecznej, to surdutowiec, od których chłopa odpycha zdawna odziedziczona i ciągle podsycana nieufność. Nie pojmuje on wartości życia i zdrowia w takiej mierze, jak człowiek klasy oświeconej, nie odczuwa też należycie potrzeby pielęgnowania i ratowania go. W tym względzie jest chłop nasz z urodzenia zupełnym fatalistą. Jeżeli w razie choroby czuje, że życie go opuszcza, to tak jego samego, jak i jego krewnych wcale to nie pozbawia spokoju, ani otępienie ani odpoczynku. „Raz maty rodyła“ — jest ich pociechą i niewzruszonem uznaniem fatalnej konieczności, której się poddać trzeba prędzej, czy później. Nie dziw tedy, że np. podczas epidemii częstokroć chłopi wcale nie używają leków, które im doktór powiatowy zapisze i dostarczy na koszt funduszu krajowego. Czyż w takich warunkach pomoże lekarz gminny w zakresie działania przez rząd uchwalonym? Prof. Korczyński, który uznał przeprowadzenie tej pomocy lekarskiej na wsi za kwestyę żywotną, uzasadnia nagłość swego wniosku tem, że śmiertelność w Galicyi jest większa, niż w innych krajach i że młodsze pokolenie naszej ludności wykazuje jawny upadek fizyczny — charłactwo, które doprowadzić może do zupełnej degeneracyi. Prawdziwe to spostrzeżenie, tylko powód tego upadku upatrywać należy nie w braku lekarskiej opieki, lecz w powszechnem niemal zubożeniu ludności wiejskiej. Główną szkodą, wywołaną przez niedostatek, jest skąpe i złe żywienie się. Marnieje przez to wielka siła żywotna i odpora, właściwa naszemu ludowi; to naraża włościan łatwiej na ciężkie choroby, to sprawia, że częściej ulegają szczególnie chorobom zakaźnym o ostrym przebiegu. Racyonalną organizacyę służby sanitarnej u nas należałoby więc przedewszystkiem oprzeć: 1) Na podniesieniu dobrobytu ludności włościańskiej. Chłop, osiągnąwszy lepsze podstawy materyalnego bytu, nietylko odzyska pierwotną, naturze jego właściwą siłę odporną, która go od chorób uchroni albo do ich pokonania dopomoże, lecz także uczuje większe przywiązanie do życia, a zatem w razie choroby ratować się będzie i szukać pomocy lekarskiej. Dopóki zaś to nie nastąpi, nie tylko nadzwyczaj rzadko lub nigdy nie zawezwie lekarza, lecz też narzuconą mu pomoc lekarską odtrąci po prostu, jako drogą dla niego i niewykonalną. 2) Oprzeć tę organizacyę należy na rzetelnej oświacie ludowej, któraby uwolniła lud od silnie zakorzenionych przesądów, na zaszczepieniu w nim przekonania, że przedstawia poważny i szacowny kapitał, który tem większej nabiera wartości, gdy go się należycie utrzymuje w zdrowiu. Dopiero wówczas przyniosłaby powszechna organizacya zdrowotna w gminach prawdziwą korzyść, tak jednostkową, jak i całemu społeczeństwu.

Beta.

BADANIA NAUKOWE.

NOWE OPRACOWANIA HISTORYI FILOZOFII.

W Niemczech pojawiły się równocześnie aż trzy nowe podręczniki do historyi filozofii. Windelbanda *Geschichte der Philosophie* wychodzi zeszytami nakładem J. B. L. Mohra w Freiburgu. Trudno dziś wydać sąd ostateczny o wartości tego dzieła, atoli już w ogłoszonej dotąd części występuje duch nawskroś nowożytny, reformatorski. Autor pisze dla czytelników, obznajmionych już z materyałem dziejów filozofii, a niezadowolonych z systemu i punktów widzenia historyków dawniejszych. Dotyka jeno istoty, głównej treści rozmyślań umysłów celniejszych i łączy ich wyniki w sposób śmiały i wielce dla czytelnika pobudzający. W wyższym jeszcze stopniu zaletę tę posiada praca profesora Baumanna *Geschichte der Philosophie* (Gotha, Perthes). Autor ten więcej nagromadził materyał, lecz i on zarzuca całkowicie dawne formuły systematyczne, obywa się nawet bez dodanego spisu treści, poprzestając na rejestrze imion. I on, podobnie jak Windelband, podaje czytelnikom wybrany niejako plon myśli filozoficznej. Dzieło swe nazywa sam historyą filozofii „nach Ideengehalt und Beweisen“; darmo byś w niem szukał komentarzy filozoficznych. Baumann podnosi wpływ rasy i narodowości na polu badań filozoficznych i silniej niż poprzednicy jego akcentuje genetyczny związek poglądów filozoficznych różnych epok. Zestawienia i porównania jego są miejscami zbyt śmiałe i paradoksalne nawet, lecz i wówczas pobudzają do myślenia samoistnego. I tak Pytagorasa porównywa z Franciszkiem z Asyżu, symbolikę jego cyfrową z myślami Comte'a. Obszerny rozdział poświęcił Baumann filozofii wschodniej, zwłaszcza indyjskiej. Żałować jeno wypada, że nie mógł już skorzystać z wybornej pracy freiburskiego profesora Hardy'ego *Der Buddismus, nach älteren Pâli-Werken dargestellt* (Münster, Aschedorff), w której znalazłby wybornie opracowany materyał życiorysowy, kulturalno-historyczny i porównawczo-religijny. Jest to pierwszy tom zbioru p. t. *Darstellung aus dem Gebiete der nichtchristlichen Religionsgeschichte*, zapowiedzianego przez wymienioną firmę nakładową. I na polu filozofii nowoczesnej okazał się Baumann postępowym. Traktuje on nietylko obszernie Lotzego, Fechnera, Hartmanna, lecz zajmuje się też starannie filozofią innych krajów, Francyi, Anglii, Szwecyi i Włoch; jest to zasługa tem większa, ile że Boström, Rosmini i Gioberti prawie nieznani są w Niemczech.

Według dawnej modły ułożone jest *Repetitorium der Geschichte der Philosophie* R. Koebera (Stuttgart, Karl Conradi). Ewolucyonizm i pozytywizm nie istnieją wcale, a przynajmniej zdaniem jego istnieć nie powinny dla kandydatów wydziału filozoficznego, przygotowujących się do egzaminu z filozofii jako przedmiotu pobocznego. Z nowszych myślicieli niemieckich wymienia on tylko Oersteda, ucznia Schellinga i do Lamennaise'go, „najwybitniejszego myśliciela francuskiego w XIX stuleciu.“ Koeber jest typowym historykiem filozofii dawej szkoły, zarówno w traktowaniu materyału, jak w charakterystyce filozofów. Trudno bez śmiechu czytać jego określenie Fechnera, któremu przypisuje „panzoistyczny panenteizm“; twierdzi on o znakomitym psychofizyku, że jest „jednym z najsprytniejszych i najoryginalniejszych myślicieli współczesnych.“ Wstępując ślepo w ślady Schweglera i Erdmanna, Koeber traktuje epokę hegelianizmu jako najgłówniejszą w dziejach filozofii. Idealizm metafizyczny nie zaginął jeszcze w Niemczech, lecz przyznać trzeba, że młodzi uczeni krzątają się około wykarczowania jego. Oto Paweł Barth ogłasza wyborną pracę p. t. *Die Geschichtsphilosophie Hegels und der Hegelianer bis auf Marx und Hartmann* (Lipsk, Reissland). Rozwija on w sposób jasny i przystępny teorye Hegla na polu historyi powszechnej, historyi prawa i państw, religii, sztuki i filozofii; uwzględnia całą niemal, rozległą literaturę heglowską i przystępuje wreszcie do krytyki, która jest nie mniej pouczającą, aniżeli samo przedstawienie teoryi. Barth zwalcza Hegla i jego zwolenników, opierające się na wynikach nauk poszczególnych, niezgodnych z teoryami tych metafizyków. Ze szczególnym naciskiem zwraca się przeciw Maurycemu Carrierowi i Hartmannowi, popularnym dziś zwolennikom Hegla. Zarzuca im, iż rozwodnili jeno jego teorye. Marxowi przypisuje zasługę, że wykazał znaczenie warunków ekonomicznych w rozwoju historycznym, atoli zwalcza metodę jego i poglądy historyozoficzne. Pracę Bartha polecić więc można każdemu, kto się interesuje postępem nauk filozoficznych w Niemczech. Że postęp bądź co bądź się odbywa, o tem świadczy zwrot w poglądach profesorów, zwłaszcza na wszechnicach Niemiec zachodnich. Najśmielej przepowiada nowy w filozofii niemieckiej okres Ryszard Falckenberg w przemowie swej inauguracyjnej *O obecnym stanie filozofii w Niemczech.* Przemowa ta, wygłoszona w Erlangen, pojawiła się właśnie w Lipsku nakładem Verta i Sp. Falcken-

berg żali się na brak umysłów prawdziwie twórczych, na rozpowszechnione dziś „nabożeństwo dla drobnostek“ („Endacht zum Kleinen“) i obojętność wobec zagadnień najgłębszych. W dzisiejszej pracy filozoficznej upatruje wiele pilności, lecz mało jedności prądów i brak produkcyjnego ścierania się dążeń sprzecznych. Według niego, brak nawet wspólnego pola walki. Atoli okoliczność, że smutny ten stan rzeczy zaczyna być coraz szerzej pojmowanym, jest już początkiem lepszej przyszłości. Falckenberg pragnąłby przyczynić się do całkowitego uświadomienia sytuacyi dzisiejszej, szeregując filozofów dzisiejszych na wzór parlamentu. Lewicę stanowią nowocześni antimetafizycy, prawicę — epigonowie dawnych metafizyków, centrum zaś — zwolennicy nowej filozofii, sięgającej znów w dziedzinę zagadnień najwyższych; po tej to nielicznej garstce filozofów, korzystających z wyników nauk poszczególnych a nietracących z oka celów umiejętności filozoficznej, spodziewa się Falckenberg nowych, doniosłych w filozofii postępów.

L.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

20 września.

Neue Zeiten, dramat społeczny Adolfa Wilbrandta.— *Freie Volksbühne*, berliński teatr socyalno-demokratyczny.

Adolf Wilbrandt, głośny dramatopisarz niemiecki, który przed kilku laty złożył godność dyrektora Burgteatru wiedeńskiego, aby módz wykonać szereg planów literackich, wywiązuje się z zapowiedzi i co roku nowy wystawia dramat na scenach niemieckich. A jednak żywa ta działalność sympatycznego poety nie jest zjawiskiem pocieszaszającem nawet dla jego przyjaciół: coraz bardziej bowiem świat literacki przekonywa się, że nadzieje, które niegdyś obudziły pierwsze utwory Wilbrandta, były przesadne, a co smutniejsza, że on przekroczył już szczyt swej twórczości poetyckiej, i że dzisiejsze dramaty jego, zamiast prześcigać poprzednie, ustępują im zarówno co do wartości artyzmu, jak co do techniki scenicznej. W zeszłym sezonie berliński Deutscher Theater, a po niem wiedeński Bürgteater wystawiły jego komedyę społeczną p. t. „Der Uunterstaatssekretär“ Sztuka ta przez krótki czas tylko zdołała się utrzymać w repertoarach dzięki pięknej postaci dziewiczej, jakby wyjętej z prześlicznych nowel autora. W tem bowiem sęk, że Wilbrandt, który gwałtem panować chce na scenie, zdaje się być bardziej uzdolnionym w kierunku nowelistycznym, a zalety epika są wadami dramatopisarza. Brak mu energii i siły; zbyt dużo ma miękkości, zbyt się skłania do owej ornamentyki, która zachwyca w noweli a nudzi na scenie. To jedno atoli przyznać mu należy, że co do kierunku działalności literackiej nie trzyma się haseł przestarzałych, lecz śmiało płynie z prądem nowoczesnym. Najnowszy jego dramat (wysławiony w Lessing-teatrze berlińskim) ma być rozwiązaniem kwestyi społecznej. Jak niedostatecznem atoli jest to rozwiązanie, o tem świadczy słowo, które rozeszło się w teatrze podczas pierwszego przedstawienia: Wilbrandt nazwał dramat swój „Nowe czasy,“ ktoś z publiczności orzekł, że sztuka ta powinnaby się nazywać „Stare czasy.“ Bogaty fabrykant niemiecki, Henryk Eckart, jest przedstawicielem umiarkowanego, patryarchalnego socyalizmu, i czyniąc dobrze swym robotnikom apostołuje swe wyznanie społeczne wśród ludu i w sferach zamożnych. Poczciwiec ten, którego natura nie obdarzyła miłą zewnętrznością, znajduje odgłos dla swych dążeń u pięknej i bogatej wdowy. Jest to kobieta o wyższym umyśle i o dzielnem sercu, która przekonania nabyte w jego towarzystwie przelewa w życie: zakłada towarzystwo kobiet, które zobowiązują się do dobrowolnego płacenia podatku na korzyść robotników, ile razy sprawiają sobie przyjemność zakrawającą na zbytek. Oto rozwiązanie kwestyi społecznej, według zdania Wilbrandta, według słów Eckarta i przyjaciółki jego, a przedewszystkiem według przekonania ciotki Molly, postaci nader sympatycznej, ale wsuniętej do dramatu po to tylko, aby żonie Wilbrandta, słynnej aktorce, zapewnić wdzięczną rolę. Łagodność serca i współczucie dla bliźnich, dobroczynność i uczciwość powszechna znieść mają sprzeczności społeczne i ekonomiczne. Takim jest wynik rozmyślań poety, który cofnąwszy się z życia publicznego, samotnie żyje dziś w swem rodzinnem mieście Rostocku. Smutny jest widok zmarnowanej pracy umysłowej talentu, bądź co bądź, nie pospolitego i człowieka uczciwego. Miękkość zabija wszystko w jego utworze. Niegdyś śmiał on wstępować wprost na pole walki, gdzie nędza ściera się z bogactwem, i tej śmiałości zawdzięcza powodzenie swe dramat jego „Ciotka pana Fabrycyusza“; dziś walkę tę poznajemy tylko z rozmów ludzi bogatych i sytych. „Nowe czasy,“ to nie żywy, bezpośredni obraz powikłanej gorącej teraźniejszości, lecz fantastyczna przędza umysłu poetyckiego, szereg rozpraw akademickich ludzi o poglądach przestarzałych.

Liczenie się z czynnikami społecznymi, uwzględnianie klas pracujących cechuje dziś każdy niemal poważniejszy utwór poezyi niemieckiej, a jednak ona nie wnika w głąb ludu, i nie przyczynia się do rozwiązania zagadnień społecznych. Klasy pracujące stoją zdala, a socyalno-demokratyczne utwory służą chyba do zapełniania wieczorów zamożnej publiczności lóż i parteru. Powszechne zajęcie obudziła tedy myśl założenia poważnej sceny dla ludu, którаby zamiast fars, arlekinad i udramatyzowanych nieprzyzwoitości, któremi karmi lud berlińska scena ludowa Ernesta, zapoznawała klasy pracujące z dramatami, które bądź wprost dla nich są pisane, bądź to z ich sfer są wzięte. Inicyatorem tej myśli i kierownikiem przygotowań jest Dr. Bruno Wille, jeden z młodszych dowódzców stronnictwa demokratycznego, ten sam Wille, który niedawno temu występował był do walki z Beblem i — został pobity. Zdaje się jednak, że porażka ta nie zaszkodziła bynajmniej jego popularności. Wille chce, aby urządzić scenę dla ludu bez pomocy sfer zamożnych. O założeniu takiej sceny pod nazwą „Freie Volksbühne“ rozprawiano na kilku zgromadzeniach. Za każdym razem schodziło się przeszło 2,000 osób obojga płci, należących do drobnego mieszczaństwa i do rękodzielników, obrady prowadzono z zajęciem najwyższem a uczestnicy zgłaszali się tak licznie, że fundusze pozwolą grywać co niedzielę nie tylko w jednym, lecz w dwóch teatrach. Organizacya „wolnej sceny ludowej“ ma wybitny charakter demokratyczny. Raz na tydzień ma być wynajęty jakiś teatr; miejsca zaś w nim rozdzielane będą nie odpowiednio do wysokości udziału członków, lecz drogą losowania. Wstęp kosztować będzie conajmniej 50 fenigów. Uiściwszy tę drobną kwotę, każdy wyciągnie sobie z urny przekaz na miejsce. Sprzedaż kart i spłacanie udziałów załatwiane będą w drobnych restauracyach i w trafikach, znanych robotnikom jako „Hebestellen.“ Uczciwsze organa prasy mieszczańskiej życzliwie witają powstanie tej sceny. Czynią one to z dwóch powodów. Skoro demokracya włącza w swój program kult sztuki, zbliża się ona do kultury nowoczesnej, którą przez długi czas zdawała się lekceważyć. Powtóre, inteligencya uczciwsza zaczyna dziś poznawać, że usiłowania jej na polu estetycznego wychowania ludu były prawie bezowocnemi. Lud ten nie miał zaufania do rozlicznych „Bibliotek“ i „Towarzystw oświaty,“ zakładanych dla niego przez inteligencyę. Słusznie zauważono, że cała ta sztuczna literatura i pedagogika celu swego nie osiągnęły dlatego, że nie wniknęły dostatecznie w psychologię ludu i mylną posługiwały się metodą. Trzymały się one zawsze tonu pouczającego, w jakim zwykliśmy przemawiać do dzieci; ludzie pracy fizycznej zaś, chociaż nie posiadają wykształcenia, mają rozum dojrzały i serce samoistnie czujące. Stworzywszy sobie własnemi siłami własną scenę, popierać ją będą i żywo do niej się garnąć.

Mając zapewnione to poparcie, należałoby rozważyć, jaki program najodpowiedniejszym jest dla poważnej sceny ludowej. Wille rozpocząć chce przedstawieniem utworu Tołstoja „Potęga ciemności.“ Następnie wystawić Hauptmana dramaty naturalistyczne „Vor Sonnenaufgang“ i „Friedensfest,“ grane w sezonie ubiegłym na „Freie Bühne,“ ludowy dramat naturalistyczny Holza i Schlafa „Familie Schlicke,“ wreszcie Ibsena „Gespenster“ i „Volksfeind.“ Program ten dał powód do żywego bardzo sporu w pismach literackich. Musiano przyznać, że Niemcy nie posiadają dziś właściwego na ten cel dramatopisarstwa. Brak im Schillera, którego utwory rozpalały umysły ludu, brak im Raimunda i Anzengrubera, którzy znając lud austryacki i dla niego pisząc, nie zawsze są zrozumiałymi dla berlińskiego. Zgodzono się i na to, że wystawienie dramatów Ibsenowskich dla publiczności ze sfer robotniczych jest próbą wielce ryzykowną; jakżeż bowiem Ibsen, głęboki, mistyczny, do zrozumienia którego inteligencya potrzebowała lat dziesięć z górą, przystępnym być może dla robotników? Lecz najżywsze rozprawy dotyczyły owych naturalistycznych dramatów na tle ludowem, które Wille umieścił w programie „wolnej sceny ludowej.“ Zamiar jego jasny: dla niego poezya jest narzędziem polityki, a scena środkiem agitacyjnym. Pragnie on, wystawiając dramaty Hauptmanna i Holza, spotęgować u klas pracujących świadomość ich położenia. Lecz kto wie, czy lud, ciężko pracujący przez tydzień cały, w niedzielę z przyjemnością spoglądać będzie na jaskrawe to odzwierciedlenie nędzy i cierpień własnych, czy potrzeba weselenia się lub wzniesienia się ponad sferę trosk codziennych nie odciągnie go od sceny dlań stworzonej. I kto wie, czy nie trafniejsze jest zdanie tych, którzy w repertoarze pragnęliby widzieć z jednej strony tragedyę wielkiego zakroju, podnoszącą umysły i serca ludu, przyzwyczajonego do stosunków ciasnych, z drugiej — utwory ludowe o zdrowej myśli przewodniej, wiernie odbijające życie, ale pisane z owym humorem drastycznym, który jest niezbędną przyprawą dla ludu—a bodaj czy też i nie dla tych, co o jego wychowaniu ludu rozprawiają.

Ladawa.

LISTY WIEDEŃSKIE.

13 września.

Nowa giełda zbożowa na Taborstrasse. — Pomnik Liebenberga na Franzensringu.

Z początkiem sezonu jesiennego Wiedeń ozdobił się dwoma nowymi pomnikami sztuk plastycznych, które ustalonej już dziś fizyognomii pięknego miasta nie dodały nowego rysu, ale zasługują na uwagę przejezdnych, interesujących się architekturą i rzeźbą. Na Leopoldstadt, w pobliżu mostu Ferdynanda, stanęła nowa giełda zbożowa, zwana tu „Frucht und Mehlbörse,“ na Franzensringu zaś, naprzeciw gmachu wsze-

chnicy, odsłonięto pomnik Liebenberga, który był burmistrzem Wiednia w r. 1683 i dzielnie rządził miastem podczas oblężenia tureckiego.

Nowa giełda wybudowaną została przez Karola Königa, profesora w politechnice wiedeńskiej, znanego twórcy pięknego Zierorhofu na placu Albrechta, tuż za operą nadworną. Podczas gdy wszystkie niemal monumentalne budynki wiedeńskie na zewnątrz wyłożone są kamieniem szarawo-brunatnym, nowa giełda olśniewa fasadą białą. Osiem przepysznych kolumn koryntckich zdobi tę fasadę, dźwigając starorzymską attykę. Na wierzchołku gmachu stoi kolosalna grupa, wyobrażająca boginię Cybelę na rydwanie i dwa jej lwy. Niestety, pięknej tej grupy, dłuta Teodora Friedla, przechodzeń prawie nie widzi; Taborstrasse, na którą wychodzi fasada nowej giełdy, zbyt jest wązką w stosunku do wysokości tego gmachu. Ośrodkiem jego jest wielka sala, w której odbywać się mają tranzakcye giełdowe. König zastosował tu plan staro-rzymskiej bazyliki, przyjętej, jak wiadomo, przez budownictwo kościelne. Rzymianie w swych bazylikach załatwiali interesy handlowe i umieszczali w nich trybunały sądowe; nie można więc odmówić racyi architektowi, który formy bazyliki używa dziś tam, gdzie ją sami jej twórcy stosowali. Nawa główna odznacza się imponującymi rozmiarami i wysokością przewyższa znacznie skrzydła poboczne. Powała żelazna pokryta jest kasetami o barwie bronzu i profilach wyzłacanych; ściany zaś ozdobione pilastrami i belkowaniem greckiem. Jako motywa dekoracyjne zastosował König złote kłosy, girlandy z owoców i liści, pług i młyn staro-rzymski. Dwanaście kolumn koryntckich o cielistych trzonach a białych marmurowych głowicach oddziela nawę środkową od skrzydeł, które oświetlone są olbrzymiemi oknami. Tuż obok sali giełdowej znajduje się mniejsza, również w monumentalnym zbudowana stylu; powałę jej zdobią inkrustacye terakotowe, imitujące piękne wykopaliska olimpijskie. W parterze mieścić się będzie kawiarnia giełdowa; filary i sklepienia pysznych sal kawiarnianych budzą podziwienie ludzi obeznanych z trudnościami tego rodzaju budowy. Kosztа nowej giełdy wynosiły zaledwie 8 milionów złr., a budowa trwała nie dłużej, niż dwa lata; okazuje się więc, że i architektura przyjęła cechy wieku pary: nauczono się budować tanio, prędko, a monumentalnie.

Pomnik Liebenberga jest dziełem Silbernagla, rzeźbiarza, niezaliczonego do gwiazd artystycznych stolicy naddunajskiej. Wiedziano jednak, że pracuje on sumiennie i poprawnie, a w odsłoniętym dnia 12 września pomniku okazał, że sprostał zadaniu większemu. Towarzystwo im. Liebenberga, zawiązane w r. 1883, kiedy obchodzono trzechsetną rocznicę odsieczy Wiednia, potrzebowało lat siedem do zebrania 70,000 złr.; tyle wynosiły koszta pomnika, zwolna przygotowywanego w pracowni, zwolna wykuwanego w granicie i odlewanego w bronzie. Na dwóch stopniach z szarego maulhauzeńskiego granitu wznosi się szeroki postument architektoniczny, ozdobiony napisami i trofeami wojennemi. Na nim opiera się smukły obelisk czworościenny, wykuty z czerwonego, szwedzkiego granitu. Tu, na froncie, umieścił Silbernagel medalion Liebenberga, otoczony wieńcem wawrzynowym. Skrzydlate geniuszki unoszą ten wieniec, klęcząc na postumencie. Szczyt obelisku i całego pomnika zdobi postać bogini zwycięztwa, roztaczającej skrzydła jakoby do lotu, w prawem ręku trzymającej wieniec laurowy, u stóp pomnika zaś spoczywa potężny lew, który łapą swą gruchocze trofea tureckie. Figuralne części lane są w bronzie, medalion Liebenberga i wiktorja nadto w ogniu są wyzłacane. Całość sprawia wrażenie wcale harmonijne. Układ pomnika odznacza się charakterem prawdziwie monumentalnym, a kolosy granitu i bronzu znakomicie z sobą się zgadzają. Nie jest to dzieło zajmujące wybitne miejsce w historyi sztuki, lecz godnem jest widzenia nietylko dla szerszej publiczności, lecz i dla artystów.

Stwosz.

LITERATURA POLSKA.

Tadeusz Sternal: *Oblężenie Kamieńca w powieści i historyi.* Lwów, 1890.

Przed rokiem, jak wiadomo, Henryk Sienkiewicz wygłosił odczyt o powieści historycznej, w którym występując przeciw dwu znakomitym estetykom, Taine'owi i Brandesowi, starał się przekonać swe audytoryum, że uprawiany przez niego rodzaj literatury ma zupełną racyę bytu. Szło raczej o nazwę, niż o rzecz samą; nikt bowiem artyście nie może zabronić wstępu, do skarbca materyałów dziejowych: wolno mu tkwiącą w nich osnowę barwić i idealizować, pod warunkiem, że płody jego fantazyi choćby jak najzłudniej odtwarzały przeszłość, do tytułu ściśle historycznych rościć sobie prawa nie będą. Pan Tadeusz Sternal, „zwolennik“ Sienkiewicza i, dodajmy współwyznawca poglądów jego na sztukę, wysłuchawszy prelekcyi, doszedł do przekonania, że „powieściopisarz lepszym jest praktykiem, niż teoretykiem.“ Podjął więc jeszcze raz kwestyę, a uczyniwszy jej rozwiązanie zależnem od pośpiesznie skleconej paraleli, zbudował trzyarkuszową rozprawkę, która na karcie tytułowej nosi pretensyonalne miano „studyum historyczno-literackiego.“

Na kilkunastu skreślona stronicach część teoretyczna, ujemne wywołuje wrażenie. Myśli autora (oile je zrozumieć a przyjąć można, wcale nie nowe) giną w powijakach zarodkowego stylu, który chce być lekkim i potoczystym, a jest bezkształtnym i ciemnym. Oto przykład: „*Relacya* Makowieckiego (główne, według naszego estetyka, źródło dziejowe, służące za podstawę obrazowi oblężenia Kamieńca w *Panu Wołodyjowskim*) jest to właściwie poemat wierszowany, napisany wprawdzie przez naocznego świadka, ale ostatecznie tylko... poemat. Historyk ma prawo wziąć z niego to tylko, co z innymi środkami autentycznymi się zgadza; wszystko inne powinienby odrzucić. To samo i my musielibyśmy zrobić, chcąc opisowi, przez powieściopisarza podanemu przeciwstawić ściśle historyczny opis, gdy jednak źródło to traktować chcemy tylko o tyle, oile było źródłem powieściopisarzowi, więc też inaczej nań się zapatrujemy. Przedewszystkiem zauważyć musimy to, co odrazu uderza, że relacya Makowieckiego, już jako poemat, zawiera szczegóły niehistorycznej wartości. Nie znaczy to, by ona nie była wiarogodna i owszem, tam gdzie ją skontrolować możemy, tam zgadza się z innemi relacyami, nawet z własną relacyą Makowieckiego, napisaną urzędownie prawie, pod wrażeniem chwili. Ale Makowiecki podaje szczegóły, dla historyka często bez wartości: tem są rozmowy, jakie prowadzono, charakterystyka osób w pewnej chwili czynu, opis miejscowości, gdzie coś zaszło, jednem słowem wszystko, co poemat może nadać żywszą formę. Są to szczegóły nie dla historyka, lecz dla powieściopisarza. Ale czy na poemacie poemat, powieść budować — czy to można? Zdaje się, że z czystem sumieniem.“ Dokazałby cudu, ktoby chciał ten ustęp na jakąkolwiek zrozumiałą mowę ludzką przełożyć. Ubóstwo treści walczy o lepsze z ciemnością formy. Autor nie miał co powiedzieć; więc ogniwa łańcucha sylogistycznego splątał w jeden węzeł, aby się zdawało prostaczkom, że bardzo mądre rzeczy mówi. Pragnie on czytelnika olśnić nawałem czczych frazesów, jak cyganka, przyszłość wróżąca... Rozwikłanie kłębka, na którego powierzchni mienią się wyrazy: „tak“ — „nie,“ „chociaż“—„ale,“ pozostawiam Szampolionom naszej krytyki literackiej; śmiem tylko zapytać p. Sternala: czy *Relacya* Makowieckiego jest „poematem,“ czy też jedynie utworem wierszowanym, i czy na seryo uważa on charakterystykę osób działających, skreśloną przez naocznego świadka (prozą lub rymami) za rzecz obojętną dla dziejopisarza?.. Takich rozumowań jest niemało w ramocie naszego pseudo-estetyka. Usiłuje on przekonać swych czytelników o tym, co w teoryi poezyi stało się oddawna skrystalizowaną formułą. Prawdopodobieństwo, nie zaś prawda, ma być zadaniem beletrysty; wolno mu z wszelkich korzystać źródeł, byleby tylko dowiódł twórczości i odpowiedział zasadniczym wymaganiom sztuki — oto cała, niewyszukana zaiste, kwintensencya, bałamutnym stylem zamąconych wywodów bardzo młodego jeszcze, jak widać, szermierza.

Dość ważną częścią roboty p. Sternala jest mechaniczne zestawienie dwudziestu wierszy *Relacyi* z dwunastu wierszami *Pana Wołodyjowskiego* (str. 13), a wcale ciekawą — pobieżna, cicha, nader ogledna wzmianka (str. 16) o zależności Sienkiewicza od Rollego, jako autora *Zdrady kamienieckiéj* (*Niwa*, r. 1887). Szkoda, że p. Sternal na tym gruncie odpowiedniej nie rozwinął paraleli; byłaby ona, jak na wypracowanie szkolne, bardzo zajmującą. Przekonaliśmy się, że dr. Antoni, znany dziejopisarz-kolorysta, Walterskotowi naszemu dostarczył nietylko materyału w wielkiej obfitości, ale i obrobionych już estetycznie klejnotów: obraz gospodarki w Chreptyowie, tragiczna dola rodziny Boskich dosłownie prawie z tego wzięte są źródła. Rozdział trzeci wspomnianej rozprawy („pan podstoli przemyski“), czwarty („Na romans zakrawająca historya“) i piąty („Dni grozy w kresowej warowni“), w stosunku do odpowiednich epizodów powieści Sienkiewicza, mogą być niemal uważane za pierwowzory. Czem się zaś różnią od swych pobizn, mówić teraz nie pora.

Pan Sternal, jako stylista i estetyk, jest lichym naśladowcą profesora Tarnowskiego. Czy idąc dalej w tym kierunku, zabłyśnie kiedy przed nami okazalszą postawą, odgadnąć trudno. Obecnie sięga on mistrzowi swemu zaledwo... do kolan.

A. G. Bem.

ALEKSANDER GŁOWACKI

(Bolesław Prus).

VIII.

Wyobraźmy sobie małą galeryę pięknych rzeźb, które jakiś przypadek porozbijał i które ktoś, niedość z nich kształtami obznajmiony, częścią na domysł, pozlepiał tak, że wiele członków, pozamieniał. Wyobraźmy sobie tedy, że po tej restauracyi Herkules ma ręce Adonisa, Wenus — głowę Dyany, Kupido — nogi małego Bachusa — wówczas będziemy mieli podobiznę „Lalki,“ a poniekąd wszystkich większych powieści jej autora. Ponieważ w takiem zgruchotaniu najwięcej ucierpiałyby figury wielkie a najmniej małe, więc też i drobne utwory lub postacie Prusa wyglądają najbardziej jednolite i nieuszkodzone. Jakiś furman z „Lalki,“ fryzyer, żydek, córeczka zaginionego ojca, wogóle wszelka istota ludzka z maleńką rolą w świecie nakreślona mistrzowsko; ale człowiek większej miary, choćby to był Wokulski, przypomina Herkulesa z rękami Adonisa. W najlepszym razie będzie to zlepek kilku ludzi, kilku charakterów, nieraz wzajem wyłączających się. Prus ma bardzo krótki wzrok i podobno dlatego zawraca głowy na wyżynach. Ta właściwość fizyczna odbija się zadziwia-

jąco w jego umyśle. Wszelkie wzniesienie się po nad zwykły poziom życia zamracza mu myśli ciemną mistyką, na żadnym szczycie nie może on długo wytrzymać i szybko zbiega na niziną, gdzie już nie dusi się rozrzedzonem powietrzem abstrakcyi, lecz oddycha atmosferą zdrowego rozsądku. Jak wszyscy krótkowidze, posiada wzrok wyborny i chwytający najdrobniejsze odcienie zblizka; ale rozległych widnokręgów i znacznych wyniosłości objąć nie może. To też wobec wielkich charakterów podobnym on jest do malarza, który by dla odtworzenia skały nakreślił ją w obrazach częściowych tak, jak ją oglądał kawałkami pod mikroskopem. Przy najmocniejszem wytężeniu swych zdolności nie zdołałby on prawdopodobnie nigdy przedstawić potężnego człowieka, jakiegoś Aleksandra W-o, Cezara, Napoleona lub Kolumba, jakiegoś tytana czynu, myśli, energii. Wtedy geniusz opuszcza go zawsze i zjawia się dopiero ze swem natchnieniem i siłą przy malowaniu tych istot małych, o których wie tylko statystyka i powieść. Gdy Prus postanowi stworzyć człowieka dzielnego, z szerokim umysłem i gorącem sercem, to wyprowadzi na scenę Wokulskiego, który zarabia setki tysięcy rubli w nieczystej spekulacyi dostaw wojskowych, który uszczęśliwia społeczeństwo spółką handlową, odrzucającą procenty, jak młynek gospodarski plewy od zboża, który oblega i ostrzeliwa pannę według taktyki naiwnego i natrętnego mikosa. Ale gdy przeprowadzi kilkonastoletnią dziewczynkę *) przez dramat rodzinny, czyni z niej postać tak przedziwnie piękną, że gotowi jesteśmy narzucić ją życiu, gdyby w niem nie istniała. Balzak uprawdopodobniłby Wokulskiego całą masą wiedzy kupieckiej, wtajemniczyłby nas w jego księgi, obroty handlowe, nadałby jego przedsięwzięciom doniosłe znaczenie ekonomiczne; Prus manipuluje tylko wyrazem: „spółka dla handlu z lekarstwem“ i wystawia jej niecierpliwym uczestnikom świadectwa głupoty, a czytelnikowi każe wierzyć, że jej twórca przelał w nią olbrzymi rozum. Energiczny na słowo autora, podobny do dekoracyj teatrów chińskich, w których obrazy zastępuje tabliczka z napisem, Wokulski jest niedołęgą w działaniu. Mistrzowstwo Prusa bowiem objawia się nie wobec natur energicznych i czynnych, które są sprawcami wypadków, ale słabych i biednych, które są ich ofiarami. Michałko, Antoś, Anielka, Ślimak, Rzecki, wogóle te liście z pnia ludzkiego, które wiatr otrąca i po świecie roznosi, te istoty, które nie działają, lecz cierpią, po których burza życia przelatuje ze swem niszczącem okrucieństwem — to są jego bohaterowie. Ta sympatya dla wszelkiego, zasłużonego czy niezasłużonego, cierpienia zjednywa Prusa tak dalece, że nieraz zaciera w nim poczucie sprawiedliwości i stawia go po stronie niegodziwców, a przeciw uczciwym. Czytając jego artykuły, zdaje się czasem, że on nie potępiłby Zopyrosa dlatego tylko, że ten obciął sobie uszy lub Tersytesa dlatego, że go Ulisses kijem wygrzmocił. Nie pamiętamy ani jednego wypadku, w którym by on bronił jakiegoś człowieka publicznego większej siły od napadających go psów; ale pamiętamy wiele wypadków, w których takim psom rany dotkliwe opatrywał. Sądzi on zapewne, że taki człowiek z owej napaści wyjdzie zawsze zwycięzko, a pies mocno pobity zdechnąć może; nie mniej charakterystycznem jest to jego stałe współczucie dla stworzeń nędznych, marnych, upośledzonych a zarazem obojętność dla doskonalszych, wybranych i znamienitych. On, który tyle ofiarował serca i miłości pierwszym, ani razu nie wybuchnął gniewem zapału do żadnej wielkiej idei i do żadnego wielkiego człowieka. Przeciwnie, często nawet z wielkich zasad, teoryj i ludzi drwi, nie drwi tylko z małych zasad, z małych teoryjek i z małych ludzi. To już nie wada, to właściwość, występująca zwykle u jednostek, posiadających większe serca, niż mózgi, silniejsze uczucia, niż rozumy. Jak trudno Prusowi unieść się zachwytem nad niziny życia, jak go nie olśniewają promienie słońc i nie porywają szczyty wyżyn, z mnóstwa dowodów przytoczę dwa. Kiedy postanowiono wznieść pomnik Mickiewiczowi, Głowacki kilkakrotnie ganił ten zbytek, zalecając natomiast uprzystępnienie dzieł poety najniższym klasom społeczeństwa. Może ta rada była rozsądną, praktyczną, ale jakże ona świadczyła jedynie o uwzględnieniu interesu maluczkich i o bezwrażliwości na cześć dla olbrzyma, która potrzebowała wyrazić się jakimś podniosłym objawem! Jednego znowu razu Prus wyszydził Mozartowskiego *Don Juana*, uznawszy to nieśmiertelne arcydzieło, w którym Gounodowi „Bóg się objawił,“ za przestarzałe i niegodne słuchania. Nie jest on — jak większość ludzi politeistą w kulcie wiedzy i sztuki, ale raczej panteistą, którego bóstwo rozpłynęło się w niedoli nędzarzów. Nie też trzeba w nim ciągle widzieć przedewszystkiem humorystę, którego śmiech milknie dopiero tam, gdzie się odzywa niedola. Potęga jest zbrojną, więc on z niej szydzi; słabość jest bezbronną, więc on ją szanuje. Mozart nie wzrusza go, ale biedny grajek w restauracyi — rozczula. Pierwszy jest za wielkim, ażeby humorysta mógł go odczuć, drugi za biednym, ażeby on mógł go ośmieszyć.

Jak rzekliśmy wyżej, Prus nie był nigdy wyznawcą żadnego systemu, apostołem żadnej teoryi, szermierzem żadnego stronnictwa, lecz upstrzył swą szatę wszystkiemi barwami. Objąwszy przed 10 laty redakcyę *Nowin*, zamierzył z nich uczynić „obserwatoryum,“ które wkrótce runęło, bo czytelnicy chętniej zgodzą się na to, ażeby gazeta była wyrocznią, niż nieustającym protokółem i biurem meldunkowem faktów. Ale to „obserwatoryum“ odpowiadało naturze umysłu Prusa, pozbawionego stałej busoli, a przez to niemogącego wskazywać kierunku pytającym o drogę. Społeczeństwo mogłoby prowadzić lub reformować tylko jakąś wielką ideą, jakimś konsekwentnie z niej rozwiniętym systemem; bez takiej gwiazdy i wyznaczonego przez nią szlaku można zaledwie wybierać lepsze ścieżki od gorszych, pokrzepiać zmęczonych, ratować od śmierci pragnących i głodnych, łatać dziury i podpierać walące się schroniska pielgrzymów — zdrowym rozsądkiem. To robił Głowacki, bo pisarz — jak on sam się nazwał — „konserwatywno - postępowo - klerykalno - wolnomyślno-arystokratyczno-demokratyczny“ to tylko robić zdolny, chociażby w tej długiej gamie najsilniej wybijał tony konserwatywne i demokratyczne. Będzie on zawsze społeczeństwu rozświecał ciemności latarką, ale nigdy pochodnią.

Prus jest i pozostanie tylko powieściopisarzem, tylko artystą. Do rozpraw naukowych (zwłaszcza społeczno-ekonomicznych), do których chęć uczuwa, brak mu nie samej wiedzy, ale zmysłu naukowego. Każdy jego artykuł jest mozaiką fantazyi z drobin wiedzy złożoną. Do faktów rzeczywistych dostawia on urojone, pożądane przecenia, niepożądane usuwa lub ośmiesza; jedna kartka z książki, dziesięć cyfr statystycznych, od oderwanych z związku z innemi i skojarzonych dowolnie — okruch dowodu wystarcza mu za szereg niewzruszonych argumentów. W sporach nie może przedmiotowo i wiernie przedstawić twierdzeń, które obalić pragnie i obala fikcyę. Jego przeciwnik nie jest istotą rzeczywistą, ale urojoną i mówiącą to, czego on potrzebuje. Bo Prus tak pisze polemiki, jak powieści — tworzy sceny, w których sam przedstawia stronę rozumną, a komuś każe być głupim. Nic go to nie obchodzi, że tę czyjąś głupotę zmyślił, przyzwyczajony jako powieściopisarz do rozdawania ról i kończenia dyskusyi według swojej woli, przenosi ten nałóg do sporów naukowych. Gdybyśmy go np. zapytali, gdzie u nas istnieją ultra-postępowcy, którym moralność „wydaje się rzeczą zbyteczną,“ gdzie jakieś „prawidła nowej etyki,“ usprawiedliwiającej wszelkie występki walką o byt i skąd on poczerpnął te twierdzenia, które przytacza w cudzysłowach, nie umiałby wskazać źródła. A wtedy, nie znając artystycznej natury jego umysłu, mógłby ktoś mniemać, że on dla ułatwienia sobie zwycięztwa fałszuje zasady i wywody przeciwników. Tymczasem Prus jest człowiekiem prawym, tylko nie może zapanować nad swoją wyobraźnią i wprowadza ją tam, gdzie dla niej wstęp zamknięty. On nie kłamie, gdy przywodzi fantastyczne cudzysłowy, on tworzy, bo tak mu czynić każe fatalizm jego umysłu. Pamiętną jest niedawna jego kanonada w *Kuryerze codziennym* przeciwko naszym żydom, która zadowoliła wymagania antisemitów. A jednakże gromił on ich wtedy, kiedy jako odbitka z tego pisma wychodziła „Lalka,“ w której najczęściej tłomaczący myśli autora Rzecki mówi: „Skąd? (żydzi wypierają nas). Z tych pozycyj, których nie zajmujemy, albo do zajmowania których sami ich zmuszamy, pchamy ich, błagamy, aby je zajęli... W antiżydowskich prześladowaniach zginęły najszlachetniejsze jednostki, a zostały tylko takie, które mogły uchronić się od zagłady... Tępiąc wszystko, co lepsze, zrobiliśmy dobór sztuczny i wypielęgnowaliśmy najgorszych.“ Na obu przeciwległych stanowiskach Prus *sobie* nie przeczył, gdyż na obu tworzył. Każdy artysta, poeta, pisarz sądzący uczuciem jest konsekwentnym nawet wtedy, gdy wygłasza najsprzeczniejsze twierdzenia; zawsze bowiem pozostaje w zgodzie ze swoją wyobraźnią i sercem, a najszczerszy wysnuje z siebie tych przeciwieństw najwięcej. Krytyka, która go za to procesuje, jest śmieszną, bo jeżeli pozwala mu dowodzić, że życie jest jednocześnie piekłem i rajem, natura, głupią i mądrą, to dlaczegóż nie ma mu pozwalać na chłostanie i pieszczenie żydów, na wiarę i niewiarę w walkę o byt? To prawo służy również Prusowi.

* *
*

Kończymy. Staraliśmy się, o ile ramy dopuszczały, uwydatnić wszystkie zasadnicze cechy jego uzdolnień i wymierzyć ich siłę. Nie jest to filozof, uczony, głęboki myśliciel, oryginalny reformator; ale jest to świetny humorysta z częstymi przebłyskami geniuszu, poeta nizin życia i drobnych żyjątek, zatopionych w morzu społecznem, mistrz obrazków drobnych i postaci maluczkich, dostojnik literatury, a nie protegowany faworyt jakiegoś pisma, nie bohater chwili, znikający i zapomniany po ostatnim oklasku przyjaciół. On w piśmiennictwie zostanie i na długo zostanie z wielkim swoim talentem i z czułem swojem sercem.

A. Ś.

*) Prostujemy tu omyłkę drukarską z nr. 37, str. 439, szp. 3 w. 40, gdzie w zdaniu: „Anielka *nie* wyzdrowiała“ opuszczono wyraz *nie*.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Lekarze na prowincyi. — Trudne warunki działania. — Liga felczerska w Szreńsku i walka z nią. — Za wczesne rozczarowanie. — Dlaczego rolnicy nie prenumerują swoich pism. — Węgry i Szampania, taorya i praktyka. — Żądanie rutynowanych fachowców. — Ostatnie chwile Zwierzyńca. — Co mogli. — Przewodnik dla drukarzów. — Książka jako skarbonka kwestarska. — Nasze obowiązki.

Albert Lange, słynny autor *Historyi materyalizmu* i krańcowy demokrata, w jednem z dzieł swoich broni ludzi zrujnowanych lub biednych a żyjących nad stan i u-

siłujących zachować pozory dostatku, twierdząc, że w tej próżności i blichtrze tkwi poważne i szlachetne zamiłowanie wyższej kultury. Z daleko większą słusznością możnaby bronić młodych lekarzy, tłoczących się w Warszawie i czujących odrazę do osiedlania się na prowincyi. Pomijając bowiem przyjemności życia w wielkiem mieście, mają oni w niem ognisko inteligencyi, środki i pomoce do rozszerzania swej wiedzy, pole do pracy naukowej. Prawie wszystkich tych dobrodziejstw pozbawia ich zakątek prowincyonalny; trudno zaś wymagać od ludzi młodych, rozmarzonych nadzieją i ambicyami, często istotnie zdolnych, ażeby oni dobrowolnie zgasili w sobie zapał i wyrzekli się swoich szlachetnych marzeń. Z drugiej jednak strony pod chęcią kształcenia się w wielkiem mieście dyszy nieraz przyczajona chęć korzystania z jego wygód, wstręt do ciężkiej praktyki bryczkowej i stosunków parafialnych. A tu tymczasem prowincya pozostaje bez należytej opieki lekarskiej, chodzi po niej pomór, grasuje ciemnota, wyzyskują felczerzy i znachorzy. To też prasa nasza radaby każdą partyę wypuszczonych z uniwersytetu lekarzów nabić w kartaczownicę i wystrzelić na prowincyę. *Kuryer codzienny* zaprowadził nawet u siebie stałą rubrykę, w której zapisuje posterunki przez nich jeszcze niezajęte, a godne starań. Na drugą szalę tej sprawy *Kuryer warszawski* rzucił głos dr. Franciszka Koziołkiewicza ze Szreńska, który jaskrawemi barwami maluje zdrożności, gwałty i spiski felczerów, opasujących go żelazną obręczą intryg i nikczemnych ataków. Brzmi to jak opowieść średniowieczna, w której śród mroków migają sztylety i oczy zbójców. Według p. K., choremu narzuca się felczer, który tylko w niebezpieczeństwie pozwala wezwać lekarza, a skutkiem tego nie ma on nigdy wypadków śmiertelnych, bo umierają ci tylko, u których był doktór. W Szreńsku jeden z takich pokątnych doradców zdrowia łącznie z towarzyszami poprostu steroryzował ludność. „Chorzy — powiada autor listu — skradali się po nocy do mnie w obawie pięści lub przekleństw ligi felczerskiej. Wszak każdy ma grzechy: te to grzechy liga felczerska starannie wyciąga na jaw. Ten ma córkę dorosłą — tak ją oczernią, że nikt się z nią nie ożeni, ów ma jakąś chorobę — ogłoszą, że unikać go trzeba jak zapowietrzonego itd. W ubiegłą sobotę jednego z moich wdzięcznych pacyentów członkowie ligi tak pobili w bożnicy podczas modlitwy, że leży bez nadziei życia... Przed pięciu miesiącami, gdym wyjeżdżał na prowincyę, byłem ożywiony najlepszemi chęciami, sądziłem, że nauką, wytrwałością, sumiennością, bezinteresownością zwalczę potęgę felczerską. A jednakże do żadnych rezultatów nie doszedłem."

Rozczarowanie za wczesne. Naprzód p. K. zaskarżył felczerów do trzech władz: sądu, policyi i urzędu lekarskiego, więc niech poczeka na wyniki tych zażaleń; powtóre ma on za sobą dopiero *pięć miesięcy* walki i już chce obchodzić zwycięztwo po złamaniu takiej potęgi, jaką stanowią felczerzy na prowincyi, od wieków utrwalający swój wpływ, osłonięci bezkarnością i wspierani ciemnotą swego otoczenia! Kto miał śmiałość do podjęcia tego boju, niech ma cierpliwość do przeprowadzenia go. U nas każda niemal praca jest drążeniem kamieni zapomocą kropel wody. Z opowieści dr. K. wnosić można, że jest on człowiekiem energicznym; dotychczasowych dowodów tej energii winszujemy mu szczerze, ale do dalszych zachęcamy usilnie. Trzeba dla urwania łbów tej hydrze nie żałować trudów i nie zrażać się niepowodzeniami. A przedewszystkiem — mamy na myśli wszystkie tego rodzaju wypadki — ujawniać przebiegi rezultaty walki, ażeby tym sposobem oddziaływać na opinię publiczną i te organy zarządu wewnętrznego, które mogą wywołać lub sprawić zmianę odnośnej ustawy. Felczerzy prowincyonalni muszą być i będą okiełznani w złej woli i szkodliwej działalności; ale dla przyspieszenia tej reformy trzeba gromadzić i na widok publiczny wystawiać materyał dowodowy, fakty, któreby jej oświecały pole nadużyć i kierunek środków zapobiegawczych. W tej sprawie prasa powinna przyjąć gorliwy udział, ofiarując swoje kolumny dla głosu ludziom, toczącym ciężką a społecznie doniosłą walkę. Rozczarowanie dr. K. może zniechęcić jego kolegów lękliwych, spokoju i pewnego zarobku łaknących; ale zdaje mi się, że jednostkom odważnym i energicznym doda ono bodźca. W dziedzinie bowiem przyszłej swej pracy oprócz zadania naukowego dojrzą one drugą, bardzo ważną rolę—apostolstwa i druzgotania bożyszcz ciemnoty. Właśnie dla pokonywania „ligi felczerskiej" młodzi lekarze powinni spieszyć na prowincyę.

Dlaczego prenumerata prawie wszystkich pism od lat kilku ciągle spada, objaśnić możemy tylko domysłem, gdyż abonenci zwykle ją przerywają milcząco; ale dlaczego ona obniżyła się śród rolniczych — poucza nas korespondent *Wieku* z pod Janowa: „Dla krótkowidzących obserwatorów — powiada on — najłatwiej było postawić ziemian pod zarzutem fałszywej oszczędności. W ten też sposób kwestya wyjaśnioną została, przyczem naturalnie nie mogło się obejść bez różnych mniej lub więcej dowcipnych zestawień i aluzyj, że na pisma niema pieniędzy, a na szampana są. Widocznie nasi brukowi ekonomiści nie wiedzą o tem, że dla ziemian naszych Węgry i Szampania mogłyby (!) wcale nie istnieć, a dobra rada i użyteczna wskazówka niezmiernie są pożądane. Ale dobra rada jest droga, a co gorsza — rzadka — i w tem właśnie leży jądro kwestyi." To znaczy: „piszący dla rolników i o rolnictwie zapominali o tem, że ich klienci nie żądali od nich ani rozrywki, *ani dowodów uczoności*, ale rad i wskazówek bezpośrednio ich obchodzących i *bezwarunkowo* praktycznych. Innemi słowy: nasze pisma rolnicze zbyt teoretyzują, a za mało radzą ziemianom w ich kłopotach. Być może, iż korespondent z pod Janowa ma słuszność i że teoryi oderwanej od życia było tu za wiele; ale ja ośmielę się stanąć w obronie zarówno „brukowych ekonomistów," jako też posiadaczów niepotrzebnej uczoności. Zaprzeczę naprzód bez obawy protestu ze strony pp. Stępkowskiego lub Fouquera, jakoby dla ziemian zupełnie obojętnem było istnienie Węgier i Szampanii; my tu, na stacyi głównej gustów, mamy całkiem inne wiadomosci i życzymy pismom rolniczym tyle dochodu z abonamentu, ile go mają handle win z ziemiańskiej wstrzemięźliwości. Mniemanie zaś, że lepiej dla rolnika nic nie czytać, niż czytać artykuły zbyt teoretyczne, wydaje mi się dość ryzykownem. Nie ulega zaś wątpliwości, że odkąd *pary* staniały o kilka rubli, ziemianie zaczęli oszczędzać się na literaturze i coraz częściej oprócz kalendarza nie widują drukowanego papieru — własnego, jak przed pięćdziesięciu laty, a może jeszcze dawniej.

A teraz co do uczoności. Najzupełniej rozumiem, że pocziwe takie pismo, któreby mi codzień poradziło, jak rolę uprawić, gdzie i kiedy co zasiać, skąd dochód wyciągnąć, czem raty Towarzystwu i procent Ickowi zapłacić — byłoby nieoszacowanym skarbem, ale może istnieć tylko na wyspie *Utopii*, bo nieprodobieństwem jest, ażeby ono, najumiejętniej i najpraktyczniej redagowane, dogodziło specyalnym potrzebom każdego czytelnika. Ziemianie nasi nagłym obrotem koła Fortuny z dostatku strąceni w ciężkie kłopoty postawili swej prasie żądanie do spełnienia niemożliwe, ażeby ona ich pojedynczo ratowała zapomocą „rad i wskazówek bezwarunkowo praktycznych." Czy podobnych usług wymaga od swych pism jakakolwiek inna gałąź pracy? Fabrykant piwa będzie żądał od swego specyalnego wydawnictwa, ażeby mu ono donosiło o wszystkich udoskonaleniach w tej produkcyi, ale nie będzie żądał, aby mu ono wskazało, gdzie i za jaką cenę ma kupować jęczmień i chmiel, ile wyrabiać piwa, w której okolicy założyć browar, jak wydobyć się z długów. „Jądro kwestyi" zatem spoczywa nie w zbytniej teoretyzacyi naszych pism agronomicznych, ale raczej w tem, że podczas gdy one zajęły się kwestyami dotyczącemi rolnictwa wogóle, ich abonenci chcą mieć wskazówki dla każdego w szczególności; podczas gdy one rozkładają swój wpływ na dłuższą metę, ich „klienci" pragną rad natychmiastowych. „Przemawiając do rolników — zastrzega korespondent — pozbyć się należy tonu uczonej zarozumiałości, pamiętając, że przemawiamy do rutynowanych fachowców, nie do dzieci." Jeżeli tak, to dlaczegóż ci „rutynowani fachowcy" tak gorszą się teoryą i nawołują do „praktycznego traktowania kwestyi?" Zdawałoby się przecież, że trzeba im tylko dać teoryę, a praktycznie oni sami ją wypróbują i szybko oddzielą pożytek od mrzonki.

Po co ta bawełna słów dla owinięcia prawdy? Czy nie lepiej szczerze powiedzieć: my rolnicy nie lubimy nauki i nie chcemy jej wzbogacać własnemi badaniami; nam potrzeba rad, wskazujących sposoby zmniejszenia kłopotów, a powiększenia dochodów. Gdy mamy wysoką rentę gruntową, abonujemy pisma przez wspaniałomyślność i nie czytamy ich; gdy mamy za niską lub zabrniemy w długi, nie abonujemy pism, bo one nas nie uczą, jak wrócić do dostatku. Oto „jądro kwestyi."

Dnie życia Zwierzyńca warszawskiego są już policzone. Na ostatniem zebraniu akcyonaryuszów stwierdzono niemożność zrównoważenia dochodów z wydatkami i potrzebę likwidacyi. Odzywają się jeszcze głosy, zachęcające do dalszych prób, ale po tylu smutnych doświadczeniach już nie znajdują posłuchu. Największe uznanie zyskała rada, ażeby Zwierzyniec zamienić na Towarzystwo aklimatyzacyjne; ponieważ jednak myśl ta jeszcze nie dojrzała, a przyjęcie jej zależy od następnego zgromadzenia uczestników, więc zastanowimy się nad nią wtedy dopiero, kiedy wyjdzie ze sfery projektów. Dziś tylko obchodzi nas jej konający ojciec. Że był instytucyą pożyteczną — nikt nie przeczy; ale że na podstawie środków prywatnych ostać się nie mógł — dość łatwem było do przewidzenia. Ogrody zoologiczne, wielce kosztowne a mało zarabiające, muszą karmić się zasiłkami z kas miejskich lub rządowych. Akcyonaryuszom, podtrzymującym nasz, przyznać trzeba, że okazali dużo energii, wytrwałości, a nawet ofiarności, więc pożegnają oni upadające przedsięwzięcie ze spokojnem sumieniem i znacznemi stratami. Zrobili, co umieli i mogli, więcej od nich wymagać trudno, bo do niczego więcej żaden obywatel kraju nie jest obowiązany. Nie było między nimi milionera, któryby słabe ich siły wzmocnił swoją potężną, więc cóż mieli zrobić, nie mogąc dłużej nieść ciężaru? Porzucili go. Czy go znowu podejmą w zmienionej postaci i z lepszym skutkiem—zobaczymy.

Mrówki drukarskie chcą również dźwignąć brzemię i potrzebują pomocy. Chodzi naprzód o wydanie niezmiernie potrzebnego „Podręcznika dla drukarzów." Jeżeli on ma odpowiadać swemu zadaniu, musi być dziełem kosztownem, opatrzonem wieloma rysunkami i tablicami. Kto poniesie nakład? Oglądając się za źródłami funduszu, kierownicy tego przedsięwzięcia postanowili wydać na ten cel uprzednio „Pamiątkę z wystawy drukarskiej," która ma się odbyć w Warszawie na początku roku przyszłego. Byłaby to książka zbiorowa, złożona z prac literatów, a dochód z niej przeznaczonoby na koszta „Przewodnika." Tymczasem mówię o pierwszej, jako bliższej w porządku zamiarów. Czy ktokolwiek z nas uchyliłby się od udziału w niej? Chyba nie. Bo prze-

cież nieobojętną dla nas sprawą jest postęp sztuki drukarskiej, a przytem czujemy zapewne jakieś obowiązki względem tych uznojonych ciężkim trudem pracowników, którzy nasze myśli i uczucia przelewają w kształty słowa publicznego. Obowiązki te płyną nietylko z zasług, ale i z długu. Przypomnijmy sobie, ile zmarnowaliśmy czasu tych ludzi, ile przymnożyliśmy im pracy niewynagrodzonej, ile uszczupliliśmy zarobku — niewyraźnem pismem, korektami, niedbalstwem! Za to wszystko należy im się od nas życzliwość wtedy, kiedy jej potrzebują. Gorąco też zachęcam inicyatorom urzeczywistnienie projektu, a skoro go ogłoszą w postaci określonej, przypomnę związaną z nim naszą powinność zarówno sobie, jak innym.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Dotychczasowe plony działalności Banku włościańskiego u nas. — Co je opóźnia? — Sromotne współzawodnictwo.— Ułomność filantropii.—Wóz czy przewóz?— Ulepszenia w środkach zarządu. — Niedoszły monopol. — Cytata. — Wymiana usług.

Robiąc w swoim czasie małą wycieczkę w stronę Banku włościańskiego, oświadczyliśmy, iż nie myślimy być rachmistrzem drobnych objawów działalności tej zbawczej instytucyi, powołanej do szerzenia dobrobytu... działkowego. Uważaliśmy, że pośród każdej nowej parceli, jako fakt odosobniony, jako ogniwo nie związane z łańcuchem zjawisk następczych, nie wiele by o sobie mówił. Parcela samotnica, niewypróbowana jeszcze przez twarde otoczenie gospodarki pieniężnej, mniej nas obchodzi, niż wystąpienie całego legionu działek doświadczonych, cało wyszłych z walki współzawodniczej ze szczupakami własności ziemskiej, z ratami bankowemi — z lichwiarzami... Woleliśmy więc czekać, aż inspekt drobnej własności zdobędzie się, jeśli nie na cały, to przynajmniej na pół, a ostatecznie nawet — na ćwierć legionu działek. Czekalibyśmy jednak zbyt długo. Zniżmy więc nasze wymagania i obejrzyjmy choć setną część oczekiwanych rezultatów, to jest, właśnie to, co Bank mógł zrobić w ciągu tak krótkiego czasu i przy danym stopniu popularności swej śród ludu wiejskiego. Do oddziałów jego wniesiono dotyczas, jak powiadamia *Kuryer warszawski*, 37 podań o układy w 29 majątkach hypotecznych. Z całej tej liczby układów pojedynczym nabywcą jest tylko jeden włościanin, na resztę składa się 36 towatrzystw, zawierających w sobie 1128 nabywców. Z tego wynika, że przeciętny skład towarzystw liczbą swoją przewyższa rozmiar niejednej małej wioski, wynosi bowiem $31\frac{1}{3}$ gospodarzów. Najliczniejsze są spółki w gub. piotrkowskiej, w łomżyńskiej niewielkie (po 10 gospodarzy). Przestrzeń zakupionego przez nie gruntu dosięgała 10,437 m. na 1129 nabywców. Cena tego obszaru wynosiła 615,805 rs., suma wyjednywanych pożyczek — 474,600 rs. Nie wszystkie jednak układy przyszły do skutku i nie na wszystkie, zawarte pomyślnie, udzielił bank żądanych pożyczek. Nie uzyskało ich i rozchwiało się — aż 5, reprezentowanych przez 75 nabywców, którzy zamierzali kupić 935 mórg gruntu za 64,557 rs. z pożyczką 50,570 rs. Przeprowadzono tedy ostatecznie tylko 32 układy z 1053 uczestnikami na kupno 9,502 mórg roli za rs. 551,248 z pożyczką rs. 424,024. Ale z tej liczby oddział przedstawił do rady banku 13, za zaś rozstrzygnęła zaledwie 8. W tych 13 układach uczestniczy 397 nabywców, którzy kupują 4,438 mórg za 231,021 rs. za pożyczkę rs. 173,175. Na 8 zatwierdzonych układów przyznana pożyczka wynosi 112,950 rs., lecz dopiero *dwa* z nich zapisane zostały w akty hypoteczne. W oddziałach bankowych spoczywa zatem jeszcze 19 układów, z którymi sprzęgają się losy 557 jednostek z ludu mało- lub bezrolnego; czeka tam lub może doczekało się już uprawy chłopskiej 5,035 mórg ziemi dworskiej, które rozbitkom wielkiej własności mają przynieść 265,227 rs. funduszu ratunkowego, a nabywcom włożyć na barki 238,849 długu w postaci pożyczki spodziewanej.

Ile z tego przybędzie krajowi „placówek" (mów: parcel) — nie wiadomo. Zależeć to będzie od tego, czy nasi „Ślimacy" zwycięzko ominęli w rzeczonych układach szkopuły wymaganej przez bank formalistyki, czy uwzględnili w nich wszystkie warunki uzyskania pożyczki. *Kuryer warszawski*, z którego zaczerpnęliśmy powyższe cyfry, wyjaśnia na przykładzie pewnej tranzakcyi świeżo wniesionej do banku, iż na powolność zatwierdzania układów o kupno wpływa następujący szereg uchybień proceduralnych: nieokreślenie granic kupowanego gruntu; nieuwzględnienie, na jak długo (na $24\frac{1}{2}$ czy $34\frac{1}{2}$ lat?) pożyczka jest zaciągana; brak podpisu właściciela majątku na planie ziemi; niedołączenie do układu świadectwa o wysokości podatków stałych i opłat ze sprzedawanego gruntu pobieranych; brak podpisów rodzin nabywców i nareszcie, najważniejszych formalności — brak wzajemnego zobowiązania nabywców co do solidarnej rękojmi. Otóż, jeśli wzmiankowani nasi „Ślimacy" przynajmniej w niektórych układach, złożonych w oddziałach banku, tak po omacku poszli ciernistą drogą formalistyki, to możemy spytać już nie ile przybędzie krajowi drobno-gospodarczych „placówek," lecz kiedy one przybędą? Dziwić się trzeba, że pomimo istnienia w polskim języku dostępnego przewodnika przepisów Banku włościańskiego, dziedzice, równie zainteresowani w pomyślności zabiegów nabywców o pożyczkę, jak sami nabywcy, tak mało są dbali o poznanie warunków uzyskania jej i oświetlenie drogi — ciemnym.

Przykład powinniby brać z naszych kolei żelaznych, które zmiarkowawszy, iż, przy wyśrubowanej nadmiernie taryfie przewozowej, nawet w czasach pary i elektryczności licha szkapa, poganiana przez Icka, może z niemi zwycięsko współzawodniczyć, wydelegowali (jak wiedeńska) lub zamierzyli wydelegować (jak dąbrowska) specyalne komisye do zbadania tak haniebnych wyścigów. Że kieszenie akcyonaryuszów znalazły się w poważnym niebezpieczeństwie wobec przewozu kołowego, dowodem może być zjechanie na miejsce sromoty schyłku XIX w. — wysłańca departamentu do spraw kolejowych. Zamierzył on zbadać, jakie rozmiary przybrało rzeczone współzawodnictwo. *Dziennik łódzki* spodziewa się, że „fakty" skłonią komitet taryfowy do zniżenia frachtów kolejowych. Jeśli nadzieje te zawiodą, będziemy mieli sposobność wybitnie zaznaczyć odrębność naszej cywilizacyi wobec zachodu — wyższością lokomocyi rodzinnej nad szynami i parą.

Sądząc z niepowodzenia pani Micińskiej, możnaby przypuścić, że najtrudniej utkać chustkę filantropijną do otarcia łez nędzarzom — w Lublinie, że rozrywka estetyczna już przestała tam być kluczem do otwierania serca ofiarności publicznej. Gdy „znana" śpiewaczka zapowiedziała swój koncert na własny i pogorzelców Białej cel, pierwsze wezwanie afiszów ściągnęło do sali tak małą liczbę słuchaczów, że, jak twierdzi *Gazeta lubelska*, nietylko dobroczynność nic by nie zyskała lecz trzeba byłoby sporo dołożyć do kosztów urządzenia koncertu. Naturalnie musiano go odłożyć. Ale tym razem usiłowania śpiewaczki nie świetnym zostały uwieńczone skutkiem: publiczność nie przybyła w spodziewanej liczbie. *Gazeta* nie wie, czemu to przypisać. Zdaje się nam, że tyle w tem jest winy śpiewaczki, której głos utracił „w ostatnich czasach" świeżość, co i samej *Gazety*, która zbyt często popada w apatyę. Oświecona publiczność Lublina, tak samo jak warszawska, wymienia tylko dwie rzeczy nie równej wartości: albo grosz filantropii na „świeży" śpiew rodaczki, albo ruble na przekrzyczający głos cudzoziemki. Gdy tego brak, serce swe zamyka bardzo szczelnie. Czasem ją rozgrzeje ciepły i energicznie wylany potok frazeologii, czasem bliskość ofiar nieszczęścia, ale Biała nie jest Jedlińskiem, a *Gazecie lubelskiej* brak dzwonka *Radomskiej* — p. Wróblewskiego. Zresztą nie powinna nas dziwić ułomność filantropii, jest ona niedołężną zastępczynią przyszłej zorganizowanej i ciągłej pomocy społecznej. Póki los pogorzelców, powodzian i gradobitników zależeć będzie nie od specyalnych instytucyj wzajemnego ubezpieczenia, lecz od kaprysów inteligencyi sytej, póty nie przestanie nas bawić i smucić zarazem widok czerpających wodę sitem, lub usiłujących bicze z piasku kręcić. Znamiennem jest to, że nędza pogorzeli bialskiej głębiej poruszyła ubóstwo, niż dostatek; gdy sala koncertowa świeciła pustkami, znalazło się aż 8 praczek, które dzienny swój zarobek oddały ofiarom ognia.

Zbliżył się już czas wcielania ustawy normalnej dla klubów towarzyskich w życie. W Lublinie zapowiedziane było zebranie ogóle członków resursy kupieckiej, celem dyskusyi nad tą ustawą, to jest, albo jak *Wiek* powiada — dla *zlikwidowania* interesów. Zebranie z powodu niezjawienia się przepisanej prawem liczby członków było odroczone. Ciekawi jesteśmy, co oni wybiorą sobie: wóz czy przewóz?..

Miasta nasze pozyskają wkrótce jeszcze jedno „ulepszenie." W ministeryum spraw wewnętrznych poruszono kwestyę zastosowania do miast Królestwa Polskiego nowej ustawy o organizacyi policyi miejskiej, obowiązującej od lat kilku w Cesarstwie. W razie przeprowadzenia tej reformy policya wykonawcza w miastach byłaby oddzielona od wiejskiej i podlegałaby bezpośredniemu zarządowi naczelników powiatu w miastach powiatowych, a gubernatorów w miastach gubernialnych, i w kilku większych, jak: Łódź, Częstochowa, Tomaszów rawski i Włocławek. Władza nad sprawami miejscowemi powierzona zostanie w miastach gubernialnych i kilku większych — policmajstrom, mającym władzę zwierzchnią w powiecie, w miastach zaś mniejszych i wsiach t. zw. „stanowym" czyli starszym rewirowym w stopniu urzędników klasowych. Liczebność policyi w miastach naszych według zamierzonej ustawy zależeć ma od liczebności mieszkańców: największe ulepszenie polegać będzie na tem, iż na 500 osób ludności przypadnie jeden policyant.

Protekcyonizm zdołał już przeniknąć głęboko. Idąc za tym prądem, a może słuszniej jeszcze za własnym interesem, rzemieślnicy kilku miast powiatowych gub. łomżyńskiej podali prośbę do ministra skarbu o wzbronienie w dni jarmarczne sprzedaży wyrobów, pochodzących od rzemieślników miast i wiosek okolicznych, gdyż te zagrażają im swoją konkurencyą. Ale spotkała ich odmowa. Na mocy danych artykułów ustawy o opłatach handlowych i przemysłowych osobom wszelkich stanów dozwolona jest bez żadnych opłat sprzedaż wyrobów włościańskich i przedmiotów domowego użytku w miastach. Żadne więc zbiorowe starania, ani zakazy nie mogą ograniczyć jarmarcznego handlu przedmiotami produkcyi włościańskiej. W ten sposób „majsterkowie" rzeczonych miast rozstać się muszą z myślą monopolu.

„...Obserwowanie ruchu przemysłowo-handlowego (w Łodzi) w ostatnich latach pozwala nam wyciągnąć wniosek, że pomimo zdarzających się rokrocznie w pewnych miesiącach stagnacyi i coraz powiększającej się trudności monopolizowania większych rynków zbytu, przemysł łódzki nie stacza się do upadku na podobieństwo angielskiego (?). W dziale bawełnianej produkcyi pod względem doskonałości i taniości wy-

robu zajmuje on silne stanowisko na rynkach ruskich; wełniarstwo, ulegając pod względem doskonałości wyrobu konkurencyi, zwyciężą z drugiej strony nadzwyczajną taniością swoją i ogromną sumą produkcyi — dalej ostatniemi laty, pomimo chronicznego utyskiwania na ciężkie czasy i stagnacyę, kilkanaście nowych stanęło fabryk i ruch budowlany ani na jotę się nie zmniejszył." Nie wiemy, o ile zgodne są z rzeczywistością wnioski wysnute z niej przez p. A. G., ale, zdaje się, iż niezupełnie pozbawione są słuszności.

Z dniem 19 września w *Gazecie radomskiej* milknie rozpaczliwy dzwon p. Wróblewskiego, nawoływający czułe serca do ofiarności na rzecz pogorzelców Jedlińska. Przez sześć tygodni donośny jego głos rozlegał się po mieście i okolicach i wydzwonił 1078 rs. 33 kop. Z tej sumy wydano na lekarstwa i żywność 323 rs. 74 kop. Pozostałe 754 rs. 59 kop. komitet pomocy rozdzielił na 200 najbardziej poszkodowanych. Mała to suma, ale filantropia prywatna niezwykła zdobywać się na większą. Charakterystyczna jest podzięka jedlińszczan dla radomian: odwdzięczyli się oni im „mszą świętą" i oddaniem ich pod opiekę i łaskę nieba, które ich ma strzedz od takiej klęski, jaka ich spotkała.

Z. Atanazy.

PRASA RUSKA.

Agencya północna donosi z Wilna:

Kiedy do generał - gubernatora Kochanowa przyszła deputacya rady miejskiej, ażeby mu powinszować nominacyi na generała artyleryi, poruszył on sprawę porządków miejskich w Wilnie i wytknął niewłaściwość pewnych wydatków, np. zamówienie drogiej cegły z Dynaburga na budowę rzeźni miejskiej, która skutkiem tego będzie kosztowała około 300,000 rs. Generał nadmienił, że miasto ma też inne, niemniej ważne potrzeby. "Nie mamy dotąd — mówił — porządnego gmachu teatralnego; doniosłość i nieodzowność tej budowli dawno już uznano, ale sprawa ta ograniczyła się do rozpraw komisyi i ułożenia prawie niemożliwych do ziszczenia projektów. Doszły mię wieści, zresztą przedostały się i dalej, że sprawa teatralna dlatego jedynie się przewleka, iż Wilno ma teatr ruski. Nie wierzę temu i pogłoskę tę poczytuję za potwarz, bo nie przypuszczam nawet, iżby w starożytnym grodzie ruskim wierni poddani swego Monarchy mogli pozwalać sobie na cośkolwiek podobnego." Zwróciwszy się następnie do radnych izraelitów, generał Kochanow powiedział między innemi: „We wszystkich miastach europejskich żydzi starają się nie odróżniać od innych narodowości w stosunkach społecznych; u nas zaś dzieje się odwrotnie. Żydzi naprzekór wszelkim dążeniom rządu usiłują utrzymać swoją odrębność. Nie dotykam zgoła ogólnie żydowskiego zuchwalstwa, jest ono oburzającem. Dzieci wasze pozostają bez wszelkiego dozoru; pełzają gromadami po chodnikach i ulicach, zawadzając przechodniom i przejezdnym; wyrostki zaś wręcz łotrostwem się bawią. Nigdzie wreszcie niepodobna dostrzedz tak dalece szkaradnego zjawiska, jak tłuszcza żydowska, gromadząca się natychmiast, skoro do zajścia wmiesza się cokolwiek obchodzącego żydów. Ciekawi są wszędzie, lecz gromadzić się i działać ciżbą, przeszkadzając policyi i usiłując wydrzeć z jej rąk jakiegoś pochwyconego na gorącym uczynku żyda-złodzieja, zagmatwać okoliczność i sprawę zaciemnić — jest to cecha szczególna, właściwa tylko tłuszczy żydowskiej. Wypadki, które się wydarzyły tego lata w Białymstoku i Wilnie, są dostatecznie wymowne; przyjmijcie przeto do wiadomości i powtórzcie współwyznawcom waszym, iż żaden zgoła wypadek tego rodzaju bez śladu nie przeminie: za każde zakłócenie spokoju publicznego i porządku winni ulegną karze. Wy, wybrani, zaufanie swoich współwyznawców posiadający, radni zakonu mojżeszowego, a przeto w gronie swoich korzystający w pewnej mierze z wpływu, możecie na współwyznawców swoich wpłynąć moralnie, aby spólnemi siłami osiągnąć porządek publiczny i ład w mieście dla dobra powszechnego."

Swiet pisze:

„Z kraju południowo-zachodniego przyszła pocieszająca wiadomość, że w łonie miejscowej administracyi powstała kwestya zasadnicza o prawie cudzoziemców brania udziału w tamtejszych zakładach przemysłowych, a zwłaszcza w cukrowniach. Projektowane ograniczenie, wywołane skutkiem tej smutnej okoliczności, że więcej niż 65% ogólnej liczby cukrowni akcyjnych znajduje się w rękach kapitalistów zagranicznych, oparte jest na prawie, na mocy którego cudzoziemcy nie mogą dzierżawić gruntów zewnątrz miast i miasteczek. Tymczasem produkcya cukrownicza koniecznie pociąga za sobą dzierżawienie gruntów pod plantacye buraczane. Trudno nie przyklasnąć tej decyzyi władz administracyjnych, kładącej kres owemu nienormalnemu i szkodliwemu zjawisku, na które nasza gazeta niejednokrotnie zwracała uwagę. Rzeczywiście, nadchodzące z kraju południowo-zachodniego wiadomości pomimowoli nasuwają smutne myśli. Prawo ograniczyło przechodzenie ziemi do rąk obcokrajowców, a tymczasem dzięki obchodzeniu tego prawa cały niemal przemysł miejscowy, wbrew interesom ludności tamtejszej, zaczął coraz więcej koncentrować się w rękach kapitalistów zagranicznych. Solidarność, istniejąca pomiędzy nimi, jest tak wielka, że wszelka konkurencya staje się niemożliwą. Niedawno donosiliśmy, że w cukrowniach południowych zostało zaledwie 2—3 dyrektorów miejscowych, a i ci lada dzień mogą ustąpić. Inicyatywa, jaką w tej sprawie wzięła na siebie administracya, może przynieść ludności krajowej wiele korzyści."

KRONIKA.

Obrady ziemiańskie.

Towarzystwo kredytowe ziemskie, przeszedłszy pod prezesowstwo p. Ludwika Górskiego, zapragnęło otrząsnąć się z rutyny, w której dotychczas grzęzło. Szczególnie dojrzała w tej instytucyi świadomość, że dotychczasowy sposób realizacyi kuponów i wylosowanych listów zastawnych, oraz systematyczne lekceważenie słusznych żądań właścicieli listów do bezpłatnego ich przechowywania, nie licuje z nowoczesnymi stosunkami i ostatecznie oddziaływa ujemnie na kurs, a więc i wziętość listów, o wiele mniej, niż przed laty cenionych. Wobec tej okoliczności „sfery kierujące" energicznie wzięły się do rzeczy. Na pierwszem posiedzeniu pod przewodnictwem p. Górskiego przedstawiono komitetowi „rozmaite" wnioski, przyjęte przez tenże. Główną ich osią była sprawa konwersyi listów zastawnych, czyli zamiana teraźniejszych, obciążających dłużnika 5%, na listy o 4%. Operacya ta jest nader zawiła i wymaga posunięcia kursu listów ziemskich do 102, czyli podniesienie o 8 rs. na setce. W tym celu komitet wybrał stosowną delegacyę, która się ma zająć konwersyą. Jednocześnie z tem poddał obradom wnioski dążące do poprawienia kursu listów. Radcowie przyszli do przekonania, że istotną przyczyną nizkiego kursu listów ziemskich jest to, iż pole ich zbytu jest za ciasne: ogranicza się na Warszawie, której giełdę charakteryzują, jako niesamodzielną i będącą wiernem echem berlińskiej. Zdaniem tedy komitetu należałoby rozszerzyć obiegowe pole listów, wprowadzając je na giełdy w Wiedniu, Paryżu i Londynie, przedewszystkiem zaś na giełdy w Petersburgu, Moskwie i Odesie. Dla ułatwienia realizacyi kuponów i wylosowanych listów na rzecz Towarzystwa, zgodzono się nawet w rzeczonych miejscowościach ustanowić miejsca płatnice, czyli innemi słowy—bankierów. *Gazeta losowań*, specyalistka od giełdy, przyznaje temu wnioskowi słuszność tylko w zasadzie, lecz odmawia ma w szczegółach „celu praktycznego." Wykazawszy, że giełdy berlińska, wrocławska, wiedeńska i londyńska albo nie mają wcale apetytu na listy zastawne, albo są wybredne, że giełdy ruskie, z wyjątkiem petersburskiej, która w ostatnich czasach skurczyła się, mają znaczenie podrzędne, przechodzi do wniosku, że tylko pozostaje jeden Paryż, na który można liczyć. Wprowadzenie jednak listów zastawnych na tameczną giełdę połączone jest z olbrzymiemi trudnościami. Bez potężnych pleców Rotszylda podwoje świątyni kapitalistycznej nie otworzą się na oścież.

Szkoły. W Petersburgu ma być otwarta szkoła malarstwa, specyalnie dla batalistów. Opłata 20 rs. rocznie.

— Szkoła stenografii powstaje w Petersburgu; posiadać będzie dwa oddziały: męzki i żeński.

— Rada państwa postanowiła, aby uczniom szkół przemysłowych, do których zaliczono także średnie szkoły techniczne, odbycie powinności wojskowej według wyciągniętego losu odraczano do czasu ukończenia nauk. Uczniowie ci jednak powinni skończyć kursa nie później, niż w 24 roku życia.

— Na 78 wakujących miejsc na pierwszym kursie zreformowanego Instytutu inżenierów komunikacyi w Petersburgu podano próśb ogółem 1000.

— W Białocerkiewskiem gimnazyum, którego kuratorem jest hr. Branicki ze Stawiszcz, otwarto 7-mą klasę, w roku zaś przyszłym otwarta będzie 8-ma. Uczniów zakład liczy 320 z tych 30 żydów.

— Przed izbą karną w Poznaniu toczył się niedawno proces przeciwko nauczycielowi M. G. z Podstolic za za rozmyślne skaleczenie 13-letniej uczenicy z tego powodu, że nie umiała rozwiązać zadania. Sąd skazał oskarżonego na zapłacenie 10 marek, chociaż prokurator żądał 50. Przez tę zamą izbę karną drugi nauczyciel elementarny A. S. z Karmina skazany został na rok i sześć miesięcy więzienia „za przestępstwo przeciwko moralności popełnione na uczenicach."

— Ogłoszony został statut wydziału rolniczego w uniwersytecie jagiellońskim. Urzędowo wydział nazywać się będzie tymczasem „studyum rolniczem" i stanowić ma część filoficznego. Słuchacze, którzy odbyli czteroletnią naukę uniwersytecką (trzy lata na „studyum rolniczem," a rok na innym wydziale) mogą otrzymać stopień doktora filozofii po napisaniu rozprawy specyalnej z zakresu umiejętności rolniczych. Sprawami wydziału kieruje stała komisya, do której wchodzą wszyscy wykładający na „studyum rolniczem" oraz trzej profesorowie wydziału filozoficznego, Komisyi przewodniczy dyrektor, mianowany na trzy lata przez ministra oświaty z pomiędzy zwyczajnych profesorów rolnictwa.

Życie społeczne. W sprawie założenia kasy przezorności i pomocy dla klas pracujących, poruszonej w łonie zarządu Stowarzyszenia wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych m. Warszawy, uchwalono: 1) utworzyć kasę jako instytucyę odrębną od Towarzystwa, pozostającą jednakże pod zwierzchnim nadzorem subjektów stowarzyszonych. 2) Uczestnikiem kasy może być każdy z pracujących na polu przemysłu i handlu, chociażby nie był członkiem Towarzystwa. 3) Rozwój kasy zależeć będzie od udziału pracodawców którzy zechcą robić wkłady na korzyść uczestników kasy u nich pracujących. 4) Wkłady uczestników mają być stałe, z góry skreślone.

— Bezpłatne czytelnie ludowe poddane zostały specyalnym przepisom, według których od założycieli wymaganem będzie: 1) Złożenie projektu statutów, wykazujących i określających cel czytelni, tudzież sposobu korzystania z niej. 2) Wskazania miejscowości, w której ma być otwartą, środków, jakimi ma rozporządzać oraz zarobków, przeznaczonych na utrzymanie w przyszłości. Bliższy dozór nad czytelniami powierzony bębędzie jednej lub kilku osobom ze świata naukowego albo duchownego. Dozorujący obowiązani są strzedz iżby w czytelni nie znajdowały się książki nieobjęte spisem, tudzież żeby instytucye te nie służyły za miejsce zebrań i narad. Przy kompletowaniu czytelni dozorujący powinni unikać jednostronnego doboru dzieł tudzież stosować ich do trybu życia i rodzaju zajęcia niższych klas ludności miejskiej.

— Z inicyatywy warszawskiego Tow. Dobroczynności powstaje na Woli pierwsza ochrona przedmiejska na 100 dzieci obojga płci.

— Grono felczerów żydów udało się do władzy z prośbą o przyłączenie ich do zgromadzenia felczerów-

chrześcian, w celu korzystania z istniejącej kasy pożyczkowej lub też założenia własnej. Prośby w zupelności nie uwzględniono, ale pozwolono starać się o założenie oddzielnego stowarzyszenia.

— W krótce otrzyma moc obowiązującą nowa ustawa fabryczna, która zabezpiecza robotnikom wynagrodzenia za kalectwa, jeżeli te nastąpiły nie z ich winy. We wszystkich takich wypadkach robotnik i jego rodzina dostaje pensyę, której rozmiar zależy od stopnia pokaleczenia i oznacza się w stosunku do zarobku rocznego. Jeśli pokaleczony straci czasowo lub na zawsze zdolność do pracy, właściciel fabryki obowiązany jest zwrócić poszkodowanemu koszty leczenia i całą stratę majątkową. W razie zupełnej niezdolności do pracy wynagrodzenie powinno wyrównywać całkowitemu zarobkowi rocznemu. Pensya rodzinie poszkodowanego wyznaczoną będzie tylko w tym razie, jeśli śmierć nastąpiła wskutek kalectwa i nie później jak w trzy lata po wypadku, który kalectwo spowodował.

Sprawy kolejowe. Zarząd naczelnika obwodu zakaspijskiego utworzył komisyę osobną dla zbadania projektu budowy kolei do miasta perskiego, Meszehede.

— Ministeryum wojny rozpatruje obecnie projekt nowej linii strategicznej Kazań-Ałatys-Łukojanow-Kołomna z odnogami do Symbirska i Muromy. Droga ta w kierunku Kazań-Kolomna-Brjańsk-Homel-Pińsk-Brześć ma połączyć kazański okrąg wojskowy i północno-wschodnią Rosyę z jej granicą zachodnią.

— Na kolei Azowsko-Charkowsko-Kurskiej czynione będą w zimie próby zabezpieczenia linii od zasp śnieżnych podług systemu inżeniera Rudnickiego, za pomocą wałów ziemnych i tarcz drewnianych.

— Kolej Nadwiślańska rozpocznie na wiosnę budowę w Warszawie domu administracyjnego dla pomieszczenia biur.

Wystawy. W Żytomierzu podczas nadchodzącej jesieni urządzona będzie wystawa rolnicza wytworów poleskich. Działy: 1) hodowla zwierząt, pszczelnictwo, jedwabnictwo, 2) wyroby mleczarskie, 3) rolnictwo, ogrodnictwo, sadownictwo, leśnictwo, narzędzia i machiny rolnicze, 4) budowie ogniotrwałe, 5) górnictwo, 6) drobny przemysł, 7) rybołówstwo i myśliwstwo, 8) eksploatacya lasów miejscowych.

Przemysł i handel. Zakłady stali i żelaza, przeniesione z Nowej Pragi pod Warszawą, do gub. jekaterynosławskiej otwierają wielki oddział fabryczny do przerabiania żelaza i stali w pobliżu stacyi Konstantynów kolei Donieckiej.

— Dowóz owoców z zagranicy do Królestwa prawie zupełnie ustał, z powodu podniesienia cła, opłacanego złotem.

— Dla większego rozwoju przemysłu górniczego w gub. południowych, postanowiono dawać pierwszeństwo przedsiębiorcom krajowym.

Rolnictwo. Komisya obradująca pod przewodnictwem r. t. Plewego nad środkiem podniesienia rolnictwa, uprosiła p. J. Blocha o referat, wyjaśniający stan finansowy rolników w główniejszych krajach.

Zjazdy. Ósmy zjazd leśników skończył się w Rzeszowie 16 b. m. Następny odbędzie się w roku przyszłym w Stryju.

Literatura. W Paryżu zaczęło wychodzić nowe pismo p. t. *Union franco-russe* pod redakcyą pani Adam (wydającej *Nouvelle Revue*). Używa ono starego kalendarza.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 14 Сентября 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.